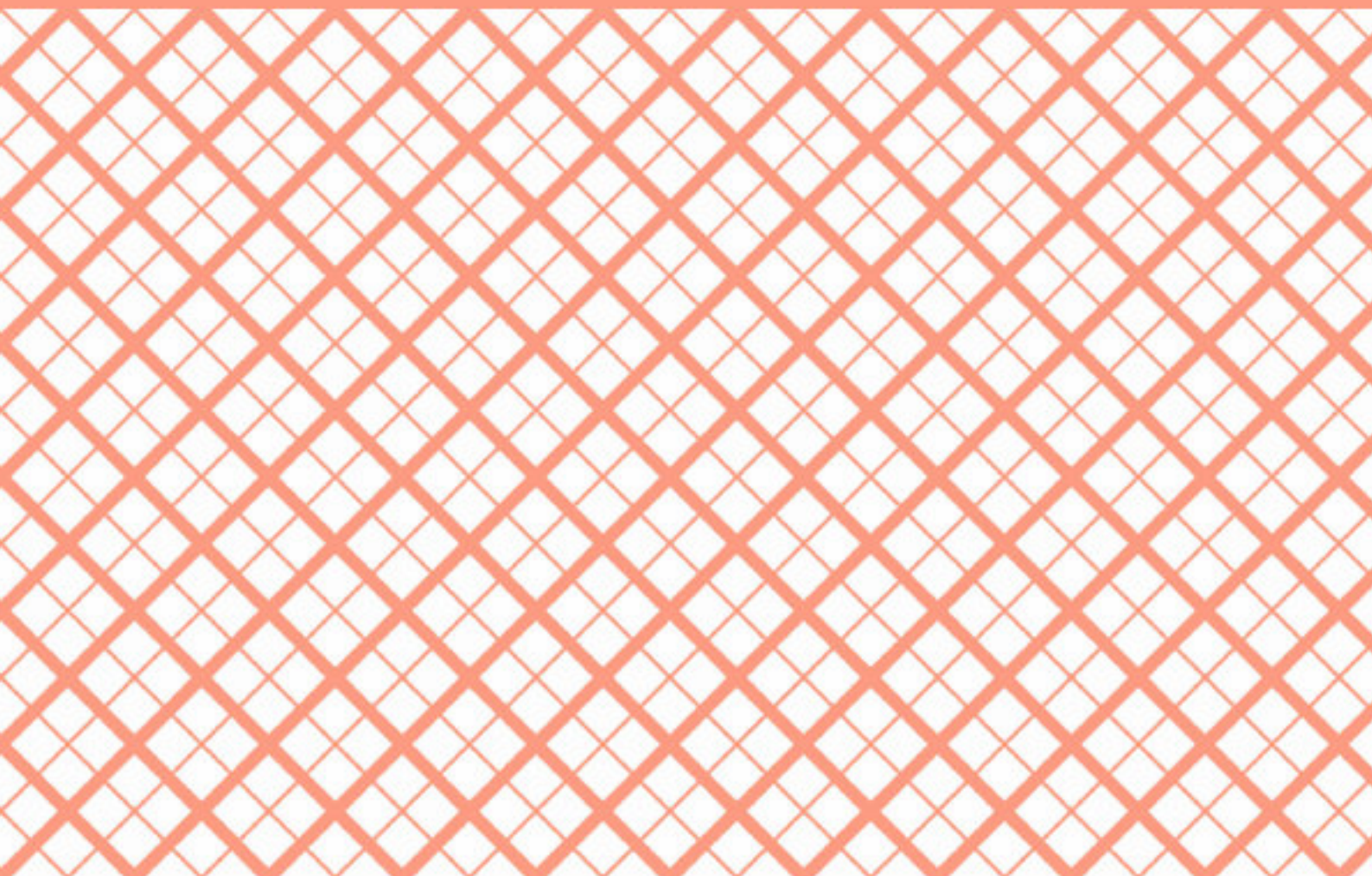


Wiesław Karol Sąsiadowicz



**PÓŁ WIEKU
Z CELEBRYTAMI**

Wspomnienia żurnalisty

Wiesław Karol Sąsiadowicz

Pół wieku z celebrytami

Wspomnienia żurnalisty

Wstęp

Z lwowskiej ulicy Bojowej na Zniesieniu — mając repatriacyjny „przydział” do Wrocławia — trafiłem ostatecznie, wraz z rodzicami oraz młodszą siostrą, do Tarnowa. Do mniejszego, lecz wielce zabytkowego galicyjskiego miasta, z jego znanymi postaciami: Wielkim Hetmanem Janem Tarnowskim, generałem Józefem Bemem, zasłużonym dla polskich dziejów rodem książąt Sanguszków, a także wynalazcą m.in. kolorowej taśmy filmowej, tudzież pionierem telewizji — Janem Szczepanikiem.

Mama była jednak mocno zmartwiona faktem, iż brakuje w Tarnowie sceny muzycznej, dlatego bardzo istotnym pocieszeniem okazało się zapewnienie miejscowych znajomych, że przynajmniej „wiatr ze Lwowa na pewno tu dociera”. Tato też przyjął tę sugestię, tym bardziej, że jako fachowiec od spraw zawilej księgowości znalazł niezłą posadę w magistracie. Ale nie oznaczało to utraty wiary — podobnie jak u wielu innych Kresowian — w rychły powrót z nami „na swoje”. Oboje rodzice wyrażali zresztą w tej kwestii podobną opinię: „Będziemy mieli stąd bliżej”. Dość szybko rozwiały się te nadzieje ...

Za to po kilku latach reaktywowany został tamtejszy miejski teatr, obecnie imienia Ludwika Solskiego, gdzie przedwojenna absolwentka Studio przy Operze i Operetce Lwowskiej, rezygnując z zaproszenia dyrekcji Opery Bytomskiej, powróciła znowu na sceniczne deski, tym razem dramatycznego gatunku. Dzięki temu już od bardzo wczesnej młodości przyszło mi obcować z ówczesnymi lokalnymi gwiazdami reżyserii oraz aktorstwa, które bywały w naszym wcale dużym lokum, a nawet — jak w przypadku obu Pań kierujących Zespołem — czasowo „u Janiny i Tadeusza” też pomieszkiwały.

Myślę więc serdecznie przede wszystkim o Pani reżyser Irmie Gulskiej-Wójcikowskiej z Warszawy, żołnierzu AK, uczestnicze Powstania Warszawskiego, potem zdolnej realizatorce ciekawych przedstawień, podnoszących rangę tarnowskiej sceny. Kiedyś, całkiem przypadkowo, zobaczyłem Jej grób na stołecznym Cmentarzu Północnym i teraz często go odwiedzam.

Kontynuując dalej wątek: myślę równie ciepło o Pani reżyser Romanie Bohdanowicz, pełnej energii i humoru, związanej długo z Krakowem, lecz dzielącej krajowy rozgłos także z Tarnowem i Opolem. Lubiła - wraz z nami - spędzać lato nad rzeką Białą, w górzystym plenerze Pleśnej-Łowczówka, zapraszając tam również swego kolegę - reżysera Tadeusza Przystawskiego, z teatru Zagłębia w Sosnowcu.

Myślę następnie —już bardziej dojrzałe i celnie — o obdarzonych talentem aktorskim: Henryce Rodkiewicz — mistrzyni słowa scenicznego, o Bohdanie Czechaku, wielce lubianym, oklaskiwanym w kreowaniu charakterystycznych postaci, o Zofii Niwińskiej — aktorce „kompletnej”, cennym nabytku ze stolicy, o Klemensie Romanie — nestorze aktorów, grającym też w filmach drugoplanowe co prawda, lecz wyraziste role. Myślę o Józefinie Werner — uroczej krakowskiej osobowości i teatralnej gracji na tarnowskiej scenie, myślę o pojawiającym się gościnnie znakomitym komiku Janie Gałązce — późniejszym rewelacyjnym „cieciu” z telewizyjnego serialu „Czterdziestolatek”, a wreszcie myślę o rodowitym tarnowskim Mistrzu, wielce rozpoznawalnym z filmu „Ewa chce spać” oraz z serii komedii o panu Anatolu — pociesznym Stefanie Bartiku.

To Oni stanowili tarnowski zaczyn moich kontaktów z celebrytami, czyli ludźmi znanymi z tego, że byli oraz są... znani. Co prawda, moje uczestnictwo w Ich gronie miało wówczas jedynie formę chłopięcego, zaś potem gimnazjalnego „statystowania”, lecz już po latach przyniosło skromne dokonania twórcze na szerszą nieco skalę. Zapewne bezwiednie ukształtowali Oni we mnie wizję przyszłego zawodu, od zamiaru „pisania sztuk” — do dziennikarstwa.

Po wielu, wielu latach, zamarzyło mi się przelanie na papier zebranych w głowie i w starych notatkach niektórych zdarzeń, jak również kilku ciekawostek, dla anonimowej „potomności”. Nieco okraszonych humorem, wynikającym z przebiegu konkretnych sytuacji. Pochodzących jeszcze z okresu mojej młodocianej fascynacji miastem dorastania, lecz przede wszystkim późniejszej, długoletniej dziennikarskiej posługi. Absolutnie jednak bez intencji wykpienia kogośkolwiek, a tym bardziej obrazy. Po prostu — jedynie z chęci odnotowania ciekawszych wspomnień z czasów prywatnego oraz zawodowego życia, także tych weselszego gatunku, bo i takich przecież nie brakowało. Zaznaczyć wszak muszę, iż jako człowiek już na wieki wieków obarczony papowską „skazą” depeszowo-syntezowego pisania, umyśliłem sobie taką raczej

niegrubą „książeczkę”, akurat do weekendowego poczytania, albo podczas podróży pociągiem czy autokarem.

Owszem, uwielbiam wszelkie pamiętniki i biografie, zwłaszcza te obfitujące w bogatą zawartość. Ale to przecież domena osób wybitnych i szczególnie zasłużonych. Postanowiłem więc kierować się inną zasadą. Wziętą — co do istoty oraz objętości — z dewizy przedwojennych lwowskich literatów: „Nie ważne kto i ile, ważne aby ciekawie”. Na takiej tedy, nie wymuszonej zbyt dużą ilością stron mojej debiutanckiej pracy, postawiłem finałową kropkę.

Wszystkie przedstawione Postaci są dla mnie równie ważne i godne ludzkiego upamiętnienia. Niniejszą książką chcę jednak okazać swój szczerzy podziw oraz wdzięczność, przede wszystkim moim znamienitym Rozmówcom.

Wiesław Karol Sąsiadowicz

Pejzaż zimowy

Celem niniejszej pracy była chęć osobistej retrospekcji zdarzeń. Zapoczątkowanych kielkującym od dziecka w mojej głowie — równie nieporadnie, co górnolotnie — zamiarem bycia kimś więcej, niż przysłowiowym „zjadaczem chleba”.

Do usprawiedliwienia owej „zadużanej” postawy potrzebne jest jednak zobrazowanie klimatu, jaki towarzyszył lwowskiemu małolatowi nie za długo po II wojnie, w tym konkretnym miejscu.

Bo to nie tylko niezapomniany, śpiewny akcent mowy moich krewnych oraz potok serdecznych wspomnień z Kresów, ale także ciekawość poznania nowego otoczenia, swoista odmienność niektórych obyczajów, również zjawisk przyrody, jak np. wiatr halny i przy sprzyjającej aurze — możliwość widoku skalnych grzbietów Tatr. Bardzo liczę więc na wybaczenie chwilowego odejścia od zasadniczego tematu.

Mówi się, że w trudnych czasach dzieciaki szybciej dorośleją. Coś w tym jest, bo i do mnie przyszło dość prędko zafascynowanie otaczającym światem, a zwłaszcza tarnowską zimą.

Pachniała cudownie, niepowtarzalnie. Tworzyła urokliwy obraz, w dzień zadziwiała swoją bielą, obfitością puchu, zaś wieczorem — bajkowym wręcz błyskotaniem srebrzystych płatków oraz skrzypieniem pod butami. Wtedy dość obfite opady rozpoczynały się zwykle od imienin św. Mikołaja, trwając z przerwami niemal do końca marca.

Było to o tyle ciekawe i zaskakujące nawet pogodowo zjawisko, iż właśnie w Tarnowie, a konkretnie w Parku Gumniskim, znajduje się epicentrum polskiego Bieguna Ciepła. Tam najdłużej, bo 114 dni w roku trwa termiczne lato, ze średnią temperaturą powyżej 15 stopni Celsjusza. Zaś przez cały rok utrzymuje się w mieście najwyższa w kraju średnia temperatura powietrza, wynosząca 8 — 9 st. C.

Dowiedziałem się tego znacznie później, po lekturze publikacji doktora Franciszka Pulita, cenionego w kraju znawcy naszego klimatu.

Powojenną zimą skromny ruch pojazdów na stromych tarnowskich ulicach dodatkowo mocno malał, ku zadowoleniu saneczkujących dzieci oraz nawet starszej młodzieży. Rywalizacja trwała w najlepsze.

Zjeżdżano po wyslizganych traktach na czym się tylko dało. Owszem, na sankach też, lecz przede wszystkim „ujeżdżano” jakieś skrzynki po towarach, wysłużone walizy, a i „cztery litery” również. Beztroska radość panowała wówczas do późnych godzin.

Dla amatorów nart były zaś w Tarnowie dwa podstawowe miejsca. Łagodny stok i „ośła łączka” pod Diablą Górą, na terenie pałacowych włości książąt Sanguszków, jak też wcale pokazna Góra św. Marcina, dominująca nad miastem. Jest ona najbardziej na północ wysuniętą częścią Karpat, ciągnących się aż do Rumunii.

Ta swoista „polska brama Karpat” dysponowała paroma trasami do zjazdu, a także dość dużą drewnianą skocznią narciarską. Kiedy więc dostałem od wrocławskiego wujka Zbyszka z ulicy Benedykta Polaka, stare ponemieckie narty, wręcz trudno było mi doczekać pierwszych szusów.

Zaistniały jednak dwa zasadnicze problemy. Nie umiałem jeździć, a narty nie miały wiązań. Tato wkrótce zaradził temu drugiemu kłopotowi, z pierwszym natomiast musiałem się zmagać sam. Jakoś poszło, bo którejś lutowej niedzieli 1953 roku udało mi się mocno zadziwić brawurowym slalomem, sceptyczną wobec narciarstwa, ale dzielną siostrę — Elżbietę.

Popularne „deski” były moją pasją jeszcze wiele lat. Przejął ją potem drogi siostrzeniec — Robert, kontynuując aż do ukończenia własnych studiów na UJ.

Osobliwi mieszkańcy

Tak jak wszędzie, nie brakowało zaraz po wojnie wielce charakterystycznych postaci naddających Tarnowowi i jego dzielnicom, swoistego kolorytu.

Niemal każdy mieszkaniec Starówki, ale nie tylko, znał z widzenia „Babcię Matuszkową”. Zajmowała, wraz z synem Antonim, ciasną parterową kłitkę po dawnym sklepiu, w jednej z uliczek biegnących ku rynkowi. Ta owdowiała wcześniej kobieta była przykładem wielkiej życiowej zaradności, znajdując receptę zarówno na okupacyjny głód, jak też powojenną biedę. Trzymała w domu dwie kozy, traktując je nie tylko jako „żywicielki”, ale wręcz członkinie „familii”.

Budził więc duże zainteresowanie nietypowy widok — jak na zabytkową część miasta — gdy na skromnym trawiastym placu pasły się dwie czyściutkie, wystrojone w barwne wstążeczki — kózki. Nie były zbyt okazałe tuszą, lecz dawały wystarczająco dużo mleka, aby podkarmiać nim, a również wyprodukowanym z niego przez Panią Matuszek serem, swoich kochanych opiekunów oraz parę rodzin z sąsiedztwa.

Któremuś z oficjeli Tarnowa bardzo jednak dopiekleła owa sytuacja i pod koniec lat 50-tych, pewnego letniego dnia, Babcia — wraz z synem i podopiecznymi zwierzakami — zniknęła ze

swojego "miejsca na Ziemi". Przeniesiona podobno w bardziej „sielski” krajobraz miasta. Pozostał od dawna zaprzyjaźniony z kózkami ich ulubiony trawnik i gorzka pustka, ziejąca z placu. W dodatku, okalające go wiekowe kamienice, tym głośniej zaczęły wołać o należyty im remont.

Jako chłopiec widziałem również niemal całą plejadę „dziadów-żebraków”, na czele z kulawym człowiekiem, zwanym potocznie „Von Sztolc”. Przesiadywał wraz z kamratami w pobliżu kościołów i na rogach ulic, ale też w roli „gościa proszalnego” pukał często do drzwi mieszkań. Miał swój żebraczy honor. Najpierw kłaniał się nisko, a potem w zależności od formy wsparcia — paru groszy lub talerza zupy — dziękował własną balladą, albo żarliwą modlitwą.

Nie było mu jednak dane zaznać „świętego spokoju”, gdyż wracający ze szkół uczniowie szukali, dla zabawy, wciąż nowych sposobów nękania biedaka. Dlatego jęklivy ton pieśni ustępował czasami miejsca tupotowi nóg dręczycieli, uciekających płochliwie przed odwetem inwalidy.

Takiej odwagi „niepokojenia” nie mieli ani młodzi, ani starsi tarnowianie wobec „Tygrysa”. Mężczyzny na schwał, stałego bywalca renesansowego Rynku i okolicznych zaułków. Obdarzony był wielką siłą, co przy dwumetrowym niemal wzroście i wydatnym brzuchu — kazało wszystkim mieć się na baczności.

Miał On jednocześnie bardzo chwalebny kartę z lat okupacji, gdy po aresztowaniu przez gestapo, znalazł się w pierwszej grupie tarnowskich mieszkańców, przewiezionych z tutejszego więzienia strzeżonym transportem kolejowym do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Jak opowiadano, pomagał tam przeżyć swoim rodakom, w tym również późniejszemu premierowi Józefowi Cyrankiewiczowi, też tarnowianinowi. Podobno ten wieloletni komunistyczny dygnitarz zrewanżował się po jakimś czasie przyznaniem swojemu dobroczyńcy skromnej renty, którą olbrzym wołał jednak regularnie przepijać.

Jego głównym sposobem na codzienne życie okazała się natomiast sprzedaż używanych krawatów, przekazywanych „spontanicznie” przez załęczonych przechodniów, ku udobruchaniu „Tygrysa”. Owszem, wobec potencjalnych klientów używał czasem „łagodnej perswazji”, lecz finalizował transakcję dopiero po obejrzeniu przez nabywcę krótkiej „części artystycznej”.

Polegała na podejściu siłacza do najbliższej blaszanej rynny i wgnieceniu jej głową, niemal do samej ściany. Raz jednak pomylił się srodze „artysta”, trafiając na tę żeliwną. Wtedy chyba po raz pierwszy tarnowianie usłyszeli na tutejszym rynku dźwięk własnego „Dzwonu Zygmunta”.

Kiedy po kilkunastu latach ten wielce schorowany już, acz długo mocarny i w gruncie rzeczy z natury bardzo dobroniosny Człowiek, umierał nocą w miejscowym szpitalu, nawet zahartowany życiowo personel medyczny nie krył swoich łez.

Tajemnice Leliwitów

„Wiedza zobowiązuje”. Poznając coraz lepiej długą historię Tarnowa, odczuwałem już jako uczeń rosnący szacunek dla dokonań tego miasta oraz jego wielkich rodaków i wychowanków. O kilku z nich wspominałem już we wstępie książki.

Warto tę listę wzbogacić, podobnie jak też wspomnieć o innych ważnych wydarzeniach w piastowskich jeszcze dziejach grodu, lokowanego dnia 7 marca 1330 roku przez króla Władysława Łokietka. Chodzi o wieści często mało powszechnie znane, albo i w ogóle.

Czerpałem je od przedwojennego jeszcze nauczyciela historii w „podstawówce” i znalazłem później potwierdzenie u pasjonata dziejów Tarnowa, zmarłego na obczyźnie członka sztabu generała Władysława Andersa, a zarazem autora unikatowej „Książeczki” – Jana Bielatowicza.

Oto gdy założyciel grodu, Spycymir herbu Leliwa, piastujący najwyższą w kraju godność kasztelana krakowskiego, postawił na kartę węgierską, to Tarnów stał się wówczas główną bazą kupiecką na Węgry, ważnym ogniwem łańcucha naszej przyjaźni z Madziarami. Nic dziwnego więc, że w pierwszej połowie XVI wieku znalazł w tym mieście serdeczną gościnę, a także bezpieczne schronienie, król węgierski Jan Zapolya. Z wdzięczności zwolnił wszystkich tarnowskich mieszczan od myt węgierskich. Tu ciekawostka.

W tamtym okresie zamek na Górze św. Marcina był jednym z najpiękniejszych małopolskich kaszteli typu naddunajeckiego. Mieściła się w nim bogata galeria dzieł sztuki renesansowej zakupionych w Italii oraz duży księgozbiór. „Widać nie było jaki, skoro zwabił tu i zatrzymał na długie lata pierwszego humanistę Rzeczypospolitej, Grzegorza z Sanoka, późniejszego arcybiskupa lwowskiego” – zauważa Bielatowicz.

Kiedy główna linia rodu Tarnowskich dobiegała swojego kresu, ludzie księcia Ostrońskiego oraz pochodzący z bocznej linii rodu, kasztelan czchowski Stanisław Tarnowski - przystąpili kolejno do przejścia górskiego zamku. Obrońcy ukryli wówczas cenną jego zawartość w niewiadomym dotąd miejscu. Być może spoczywa ona nadal jeszcze w tajemnym przejściu podziemnym, prowadzącym ponoć z owego kasztelu do Klasztoru Ojców Bernardynów.

Nie zbadano tego dokładnie z obawy przed zawaleniem się tunelu. Poszukiwacze natrafili jedynie na pojedyncze okazy rycerskiego oręża i innych przedmiotów, tuż jednak za dawnym wejściem do lochów, bo tylko tam udało im się dotrzeć. Nie dziwota, że ruiny zamczyska pobudzały wyobraźnię oraz dociekania mieszkańców miasta, zresztą do teraz.

Tymczasem nawet po paru stuleciach Madziarzy nie zapomnieli o pomocy udzielonej ich królowi, umieszczając pod koniec XIX wieku w Tarnowie, swoją główną składnicę win tokajskich na Polskę. W gronie odbiorców — oprócz eleganckich ówczesnych restauracji, kawiarni oraz domów handlowych i sklepów — były również nasze kościelne diecezje, które węgierska centrala zaopatrywała w wino mszalne, i to do samego wybuchu II wojny światowej. To już dziś raczej zapomniane fakty.

Nikła obecnie pamięć towarzyszy również dłuższemu pobytowi w tym galicyjskim mieście, popularnego wielce księcia Józefa Poniatowskiego. Według dokumentującej nasze stare dzieje Iwony Kienzler, zdecydował o tym około 1784 roku sam król Stanisław August.

Świetne wyniki szkolenia osiągnęte na tarnowskim poligonie, potwierdziły dowódcze zdolności młodego arystokraty. Nic więc dziwnego, że jeszcze w trakcie owych ćwiczeń otrzymał Poniatowski wraz ze swoimi żołnierzami, zaproszenie do zaszczytnego uczestnictwa w paradnej musztrze w Wiedniu, przed samym cesarzem Józefem II Habsburgiem.

Podziwom wszystkich licznie zgromadzonych — nad postawą polskich szwoleżerów i ich dowódcy — nie było podobno końca. Zachwytom pań nad urokiem młodego księcia — również.

Podobnym zainteresowaniem cieszyło się niecodzienne wydarzenie, gdy oto w tarnowskiej rezydencji książąt Sanguszków — tego jednego z sześciu najślawniejszych rodów Litwy i Korony — gościł w 1883 roku arcyksiążę Rudolf Habsburg, zobligowany stanowczo przez swojego ojca, cesarza Franciszka Józefa I.

Pragnął On, aby Rudolf zbliżył się mocniej do sfer towarzyskich całej ówczesnej Galicji, w tym także do magnaterii oraz wpływowej szlachty polskiej. Zależało bowiem cesarzowi aby — poprzez syna — utrzymywać z nimi przyjazne więzi. U nas zaczął od wizyty w Krakowie. Było to na pięć lat przed tragiczną śmiercią w Mayerlingu młodego następcy cesarskiego tronu.

Po swoim powrocie do Wiednia, Rudolf chwalił bardzo gościnność naszych wielmożów, w tym także gospodarzy tarnowskich Gumnisk. Doceniał piękno okolicy ich pałacu, jego wyposażenie oraz bardzo pomysłowe zagospodarowanie obiektów pomocniczych, jak również tamtejszą roślinność uprawianą w tzw. alpejskiej części Ogrodu Książąt.

Wspomina o tym, jak zwykle interesująco oraz wielce barwnie, znany galicyjski pamiętnikarz tamtych czasów, Marian Rosco Bogdanowicz.

Z okazałą siedzibą rodu Sanguszków wiąże się również pewna, bardzo delikatna w swojej materii, a dość powszechna w kręgach ówczesnych elit oraz społeczności - legenda. Ponoć właśnie w tej tarnowskiej rezydencji książąt doszło do poczęcia słynnej potem na cały świat aktorki, Heleny Modrzejewskiej, określanej zresztą mianem „arystokratki od urodzenia”. Prawdy nie poznamy.

Faktem jednak jest, iż współcześni Wielkiej Artystce zwracali uwagę na Jej uderzające podobieństwo do młodej księżniczki Heleny Sanguszkówny. Obie utrzymywały zresztą ze sobą dość bliskie i serdeczne kontakty towarzyskie, którym towarzyszyła również obfita korespondencja, zachowana częściowo do dzisiaj.

„Określano dawniej Tarnów jako tę drugą stolicę panów krakowskich oraz siedzibę tarnowskich, bastion przyjaźni z Węgrami i bramę wypadową na Ruś, na Wołoszę, jako zbrojownię przeciwkrzyżacką oraz jedną z niezawodnych skarbnic królewskich” – akcentował miłośnik historii miasta, Jan Bielatowicz. Teraz przychodzi zmagać się zasłużonemu grodowi z problemami współczesności. Czy pomoże w tym dawna dewiza Leliwitów: „Zmierzajcie ku gwiazdom mężowie” (Tendite ad astra viri). Ufajmy, że tak.

Bema rapsod powrotny

Tarnowianin, generał Józef Bem, to jeden z najbardziej znanych w naszej historii, „żołnierzy — tułaczy”. Bohater trzech narodów — Polski, Węgier i Turcji — zapisał się złotymi zgłoskami w okresie Wiosny Ludów.

Jego postać intrygowała mnie mocno już od wczesnej młodości, bo był stosunkowo „świeżym” ponownie Obywatel miasta i jednocześnie Postacią, o której mówiło się już dużo oraz wzniośle, ale mało konkretnie. Ciekawił więc młodego człowieka nimb swoistej „tajemniczości” tej Osoby.

Brakowało bowiem fachowej literatury, dokumentującej życie Bema, a także innych pamiętek z Nim związanych. Przybywało za to po tzw. okresie stalinowskim — prawie w całym kraju — ulic, szkół i spółdzielni pracy, noszących imię Wielkiego Patrioty. Później owe proporcje zaczęły ulegać stopniowej poprawie. Teraz jednak znowu nastał pewien regres związany z osobą Bema, mimo niedawnych wysiłków dokumentalistów, a także ludzi estrady.

Warto przypomnieć więc, m.in. za historyk Marią Żychowską, że miał Generał trudne życie oraz obsesyjne wręcz umiłowanie wolności i Ojczyzny. Że wyznawał zasadę, iż w każdym

miejscu i w każdej sytuacji może uczynić coś dobrego dla Polski. Nie zawsze jednak był Bem dobrze rozumiany oraz doceniony.

Jego talent stratega-artyleryzisty, zabłysnął już podczas pamiętnych bitew w Powstaniu Listopadowym, pod Iganiami i Ostrołęką, jak też w krwawych z 1848 roku walkach tzw. rewolucji wiedeńskiej przeciw monarchii habsburskiej. Dołączył potem „Jenerał Bem wraz z ochotnikami polskiego legionu” do węgierskiego wojska w ich kraju, co matka Lajosa Kossutha — organizatora i wodza rewolucji węgierskiej z tamtego okresu — oceniła słowami: „Wolność i braterstwo niech będzie między Polską i Węgrami, tak w zwycięstwie i śmierci”.

Potwierdzeniem owej deklaracji stała się bliska przyjaźń Bema z utalentowanym, narodowym poetą Sandorem Pet’ofim, wkrótce adiutantem generała podczas rewolucyjnych bojów. Niestety, jeden z nich zakończył się śmiercią Wybitnego Węgra.

Powstanie upadło, a gen. Bem wraz z garstką oficerów polskich, nie chcąc w sierpniu 1848 roku trafić do niewoli austriacko-rosyjskiej, przeszedł z kolegami do Turcji, która to — wbrew oczekiwaniom rządów obu zaborców i osobiście cara Mikołaja I — nie posłuchała ich wezwań o ekstradycję „podpalaczy światowego porządku”.

Według Żychowskiej, pomagał Polak rozwijać nad Bosforem artyleryjską sztukę wojenną, ale też pozostawił prace np. z dziedziny matematyki.

Swoją żołnierską służbę zakończył po internowaniu w syryjskim Aleppo, na skutek wymuszonej przez Rosję „ugody” ze stroną turecką. Zmarł w tym mieście 10 grudnia 1850 roku, zaś Jego ostatnie słowa brzmiały: „Polsko, Polsko! Ja Cię już nigdy nie zbawię”.

Po niedługim czasie, zyskał generał od Węgrów miano: „Ojczulek Bem — Bem Apo” i opinię największego wodza walki wolnościowej Węgier 1848—1849. Także rząd Turcji nadał Jemu godność „Farik Murad Pasza”, wiążącą przybrane nazwisko Bema z arystokratycznym tytułem paszy oraz ze stopniem wojskowym, będącym odpowiednikiem rangi generała dywizji.

Żychowska pisze: „Mijały lata. Wiele ważkich wydarzeń przeżył Tarnów, ale pamięć o zasługach gen. Bema przetrwała. Odświeżyli ją zresztą Węgrzy, postawiwszy w 30-tą rocznicę śmierci Generała, pomnik w Maros Vosorhely. Zaś potem również w Budapeszcie”.

W listopadzie 1881 roku, także w Tarnowie powołano komitet obywatelski, który zainicjował akcję zbierania składek na budowę pomnika Bema. Trochę to trwało, przynosząc jednak wcześniej odsłonięcie pamiątkowych tablic, również na frontonie domu generała, na tarnowskim placu, zwanym Burek. Pojawiło się także serdeczne pragnienie sprowadzenia do rodzinnego miasta, prochów Wielkiego Polaka.

Z uwagi na międzynarodowy charakter przedsięwzięcia — „Pod protektorem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego” — zawiązał się „Komitet sprowadzenia do

kraju zwłok gen. Józefa Bema”. Godność członka honorowego Komitetu przyjął m.in. Marszałek Józef Piłsudski, wtedy prezes Rady Ministrów.

Starania dyplomatyczne ruszyły, a w Tarnowie rozważano wybór miejsca pochówku szczątków Bohatera. Po kilku sporach dotyczących lokalizacji grobu, zdecydowano o budowie bardzo oryginalnego mauzoleum, na wysepce dużego stawu w miejskim Ogrodzie Strzeleckim — odnotowuje gazeta „Pogoń”.

Wybrany został wielce ciekawy projekt rektora krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, prof. Adolfa Szyszko-Bohusza. Wiosną 1929 roku prace dobiegły końca. Mauzoleum, w stylu neoklasycystycznym, umieszczono na dużej płycie żelbetowej, otoczonej wodą.

Z płyty wiesz w górę sześć okazałych, jasnych kolumn, podtrzymujących sarkofag. Na jego frontonie — polski napis: „Generał Józef Bem”, na bokach napisy po węgiersku i turecku, a na czwartej stronie — data urodzenia i zgonu Bohatera: 1794 — 1850. Całość obiektu okala gruby łańcuch z brązu armatniego, wsparty na kulach symbolizujących rodzaj broni, którą dowodził Bem.

Po ekshumacji zwłok Generała, 20 czerwca 1929 roku w Aleppo oraz po uroczystym przejeździe trumny wraz z żałobnym orszakiem dostojników państwowych przez terytorium Turcji i Węgier — prochy Wielkiego Żołnierza przybyły 29 czerwca 1929 roku do Polski.

Dla symbolicznego upamiętnienia powrotu Józefa Bema, skłoniły się w Warszawie głowy władz Państwa oraz mieszkańców stolicy. Natomiast po przyjeździe konduktu ze stacji granicznej do Krakowa, odebrał Generał szczerą hołd społeczeństwa przed Pomnikiem Grunwaldzkim i na dziedzińcu Wawelu. Zaś 30 czerwca tegoż 1929 roku — nastąpiło serdeczne powitanie Bema w rodzinnym Tarnowie.

W tym dniu cała niemal ludność miasta wyległa na ulice, udekorowane flagami trzech państw — Polski, Węgier i Turcji — kwiatami, zielenią i portretami Bohatera. Była asysta oficerska oraz wojskowa kompania honorowa, poczet rajców, tudzież cechów rzemieślniczych, do tego liczne orkiestry i chóry. A także przedstawiciele najwyższych władz kraju - relacjonowała „Pogoń”.

Prochy Walecznego Polaka złożone zostały na stałe tam, gdzie być powinny. W Jego Ojczyźnie oraz mieście. Odwiedzają Go teraz w urokliwym, miejskim Parku Strzeleckim, liczni rodacy i zagraniczni turyści, jak również oficjalne delegacje — z Węgier i Turcji.

Wykonywany znakomicie przez Czesława Niemena: „Bema pamięci rapsod żałobny” — w tym opisywanym przypadku: „powrotny” — naprawdę doczekał się przed wielu laty równie godnego urzeczywistnienia.

Wielcy rodacy

Słuchając w realnej szkole i w domu częstych opowieści o wybitnych Polakach, o naszych starych dziejach, nie przypuszczałem nawet, że moją zarówno chłopięcą jeszcze, jak i młodzieńczą wkrótce wyobraźnię, zdominują też zasłużone tutejsze Postaci.

Nie tylko wspomniani już wcześniej: Wielki Hetman Jan Tarnowski, pamiętny „Żołnierz-Tułacz”, gen. Józef Bem oraz najwszechstronniejszy polski wynalazca przełomu XIX i XX wieku, m.in. autor pierwszej kamizelki kuloodpornej, Jan Szczepanik. Zadziwili mnie również inni rdzenni tarnowianie lub wychowankowie szkół w tym mieście. Byli wśród Nich tak znani Polacy, jak m.in. :

Historycy — profesor Józef Szujski i generał Marian Kukiel, poeci — Kazimierz Brodziński i Mieczysław Jastrun, pionier taternictwa, twórca „Orlej Perci” – ks. Walenty Gadowski, jeden z najlepszych szachistów świata, mistrz cesarskiej Galicji — Marcin Kirschner, aktor Stefan Jaracz, legendarny zapaśnik Zbyszko Cyganiewicz, przedwojenny projektant odbudowy Mostu Poniatowskiego w Warszawie — inż. Stanisław Hampel, architekt z tamtego okresu i badacz warszawskich zabytków — Aleksander Król oraz bohaterski dowódca obrony Westerplatte – major Henryk Sucharski. Był także pisarz, dramaturg i tłumacz — Roman Brandstaetter, jak również słynny awangardzista teatru — Tadeusz Kantor.

Jest też jednak bardzo bolesna strona tutejszego bytowania. W czasie okupacji hitlerowcy wtrącili do tarnowskiego więzienia utalentowaną polską narciarkę — Helenę Marusarzówną, aby rozstrzelać Ją wkrótce w pobliskiej Pogórskiej Woli.

Z Tarnowa wyruszył też 14 czerwca 1940 roku pierwszy w okupowanym kraju transport więźniów do niemieckiego obozu zagłady Auschwitz. Liczył 728 więźniów, a Ich nazwiska zastąpili Niemcy numerami od 31 do 759. Tylko nielicznym udało się powrócić potem do domu.

„Szynowa” duma

Wróćmy jeszcze na moment w odleglejsze czasy. Oto zapatrzeni w bystry i uparty nurt tutejszych rzek: Białej i Dunajca, tarnowscy rajcy też dopięli swego. 25 września 1911 roku ruszyła w Tarnowie komunikacja tramwajowa o długości prawie 3 kilometrów. Łączyła dworzec kolejowy — poprzez środek miasta — z odległą dzielnicą Grabówka.

Według ówczesnej miejscowej gazety „Pogoń”, pomysł na własny tramwaj błędził po głowach postępowych tarnowian już od końca XIX wieku. W roku 1897 krążyła po mieście plotka, że jeden z „inżynierów warszawskich” rozpoczął rokowania z jakąś firmą o założenie w Tarnowie tramwaju elektrycznego. Gazeta wątpiła jednak, czy np. ulica Wałowa, ze swoimi licznymi krzywiznami, nadaje się do takiej komunikacji. Sprawa upadła.

Projekt odżył ponownie w 1901 roku, a jego opracowaniem zajęli się inżynierowie: Idzikowski i Katerla. Jednak do realizacji inwestycji, z przyczyn tym razem finansowych, znowu nie doszło.

Dopiero po 10 latach, 18 i 19 stycznia 1911 roku, firmy A.E.G. Union oraz Arnoldi, podjęły — na koszt miasta — prace przy układaniu torów i montażu trakcji elektrycznej. Pod koniec września tegoż roku, Tarnów stał się trzecim — obok Lwowa i Krakowa — miastem w Galicji, które posiadało ten środek lokomocji.

„Pogoń” pisała: „W czasie pierwszego przejazdu tramwaju, obie strony torów zalegały tłumy mieszkańców, witających owacyjnie przystrojone suto zielenią, kwiatami i wstęgami, wozy”.

Jako wzór wagonów tramwajowych przyjęto te ze Lwowa, lecz z dość znacznie wzmocnionymi hamulcami. Miały ładną czerwono-złotą barwę i wypucowane zawsze do połysku wagony. Przypominał tutejszy tramwaj wiedeńskie „biedronki” na szynach i tak go zresztą potocznie nazywano.

Owszem, nie brakowało żartownisiów i sceptyków tego środka lokomocji, ale na widok wagoników jadących w dół ulicy Krakowskiej, czy też pod górę ulicy Lwowskiej, wzbierała mocno duma mieszkańców. Niestety, podczas okupacji Niemcy wywieźli cały tabor tramwajowy i wyposażenie miejskiej zajezdni, także elektryczną trakcję. Pozostawili tylko same szyny. Był wtedy powód do dodatkowego smutku.

Szyny zniknęły w drugiej połowie lat 50-tych, z chwilą zastąpienia solidnych galicyjskich bruków asfaltową wylewką ulic, o bardzo słabej zresztą trwałości.

Wkrótce doszli też do władzy w mieście ludzie rozprawiający w stylu: „wicie, rozumiecie”, stąd o przywróceniu „burżuazyjnego dziwadła komunikacyjnego” nie mogło być mowy. Podobnie zresztą, jak o odbudowie zabytkowego mocno i potrzebnego przecież zawsze, publicznego szaletu dla mieszkańców.

Dziwi więc, że późniejsi gospodarze Tarnowa nie pokusili się jak do tej pory, o powtórzenie tramwajowej inicjatywy dawnych rajców. Może nawet przy udziale strony niemieckiej — jako rekompensaty za zagrabione Polakom w czasie wojny, także tutejsze mienie. Dla stworzenia

pod Górą św. Marcina historycznie umotywowanej, turystycznej atrakcji, ale też sposobu na wygodne przemieszczanie się ludzi.

Zresztą, według mojej dziennikarsko-sejmowej pamięci, w przyjętym w gmachu na Wiejskiej, tzw. Narodowym Planie Społeczno-Gospodarczym na rok 1986, widniała inwestycja dotycząca odbudowy tarnowskiej komunikacji tramwajowej.

Myślę, iż warto oraz należało odświeżyć w pamięci tych kilka ważnych faktów, dawnych zdarzeń i związanych z nimi Osób, dla wspólnej niewątpliwie wiedzy, a może również jeszcze — powrotu tzw. galicyjskiej satysfakcji.

Dzisiaj bowiem słysząc, że po likwidacji niektórych zakładów oraz spółdzielni, młodzi tarnowianie - wędrując nadal po lepszy byt do USA - wyjeżdżać też muszą za pracę do Skandynawii lub Wielkiej Brytanii. Dobrze więc, że „markowa w kraju” Grupa Azoty myśli o dalszych lokalnych inwestycjach nad Dunajcem, a w jej ślady idą również coraz nowocześniejsze swoim produkowanym sprzętem obronnym — tamtejsze Zakłady Mechaniczne oraz znany od lat eksporter silników elektrycznych — Fabryka „Tamel”.

Powoli do celu

Pora przedstawić teraz niektóre sytuacje „w zawodzie”, uwzględniające jednocześnie wcześniejsze wysiłki autora chcącego zostać żurnalistą. A trochę ich było, z różnym zresztą skutkiem.

Są osoby, które twierdzą, że aby być dobrym pisarzem, aktorem czy politykiem, nie potrzeba dyplomu jakiejś tam „akademii”, lat żmudnego praktykowania w zawodzie, ani stałej pracy nad sobą. Wystarczy sam talent i owo „coś” — nazywane dziś „siłą przebicia”.

Jeżeli to cała prawda, to tylko pozazdrościć. Bowiem w moim przypadku, jeszcze przed podjęciem studiów, niezwykle istotny był roboczy kontakt z doświadczonymi mediami.

Oto z początkiem lat 60-tych rozpoczęła się moja współpraca — jako korespondenta „z Tarnowa i okolicy” — z krakowskim „Dziennikiem Polskim”. Wówczas to, w tym bogatym w uznanie oraz tradycję piśmie, spadkobiercy tzw. IKACA — przedwojennego Ilustrowanego Kuriera Codziennego — pracowało nadal kilka wybitnych tamtejszych Postaci, np. popularny spec „od pogodowych anomalii”, dziennikarz Zygmunt Merta.

Oddany pod rzetelną opiekę eleganckiej i miłej Pani redaktor Danuty Jakubiec, zamiast stopniowo wdrażać się do tych dobrowolnych przecież czynności medialnych, szybko przyszło

mi — prawdopodobnie z nadmiaru poczucia obowiązku — „zadręczać” dobroduszną kobietę oraz resztę żurnalistów podwawelskiego zespołu terenowego, lawiną tekstów z mało chwaleb- nego gatunku: „Od Sasa do lasa”.

W końcu jednak zaczął ochotnik lepiej utrafiać z dobo-rem tematów, lecz kosztem innych „twórczych” kłopotów. Mam, wobec jednej zwłaszcza informacji, do teraz jeszcze poczucie swoistego zawsty- dzenia.

Rzecz miała się tak: Jest telefon z Krakowa, że redakcja otrzymała bardzo ciepły list od dyrekcji szkoły podstawowej w Tuchowie, o ich dziecięcym zespole pieśni i tańca, wyróżnio- nym ostatnio na jakimś festiwalu. Dlatego proszą, żebym go szerzej przedstawił w gazecie.

Chcąc to uczynić możliwie szybko, wyjechałem nazajutrz rano do tej malowniczej, pogó- rzańskiej miejscowości. Tym chętniej, iż akurat miał tam być jeszcze dostępny w sklepie, trudno osiągalny film do mojej służbowej „Zorki”. Aparat wziąłem ze sobą, schowany w ple- caczku.

Pogawędka w szkole z nauczycielami i młodzieżą była bardzo sympatyczna, dużo zanoto- wałem w notesie, dyskretnie jednak bacząc, aby zdążyć na popołudniowy powrotny pociąg. Zostało jeszcze nieco czasu, gdy ni stąd ni zowąd, przyszedł mi do głowy wielce nieodpowie- dzialny pomysł. Pochwaliłem się redakcyjnym aparatem fotograficznym, nadal wówczas bez kliszy. „Jak to dobrze, nie mamy jeszcze własnych zdjęć, bardzo nam pan pomoże” — ucie- szono się w szkole.

Tłumaczyć i wycofywać się — nie wypadało. Myślę sobie, trudno. Pstryknę parę fotek „na niby”, minuta fatygi i marsz na stację. Tymczasem opiekunka zespołu mówi: „To trochę będzie trwało, musimy odprasować wszystkie stroje, ubrać i umalować naszych artystów, a później ustawić do zdjęcia”. Mój Boże, tyle bezsensownych starań, wysiłku i złudnej nadziei. Wszystko przez niemądry gest i brak cywilnej odwagi „pana redaktora”.

Wróciłem do Tarnowa zupełnie późnym wieczorem, wysyłając następnego dnia ową tu- chowską korespondencję, oczywiście bez zdjęć. Przesiąkniętą za to własnym, moralnym „ka- cem”.

Dręczył mnie on okrutnie, dlatego szukałem sposobności służbowej pokuty. No i przyszła, kilka miesięcy później. Wpłynęło zaproszenie od tarnowskiego Hufca ZHP, abym uczestniczył w uroczystym wręczeniu Honorowych Krzyży Harcerskich, zasłużonym dla tej organizacji oso- bom. Przy tradycyjnym ognisku, na szczycie miejscowej Góry św. Marcina, jesienną porą, punktualnie o północy.

Większej „tortury” nie mógł dla mnie nikt wymyśleć. Bowiem w owym czasie ceniłem sobie pełnowymiarowy, zdrowy sen. Z dużym trudem więc przyszło mi dowlec się w ciemnościach na miejsce akcji, wytrzymać potem zwyczajowe pogawędki przy watrze, a na dodatek — zanucić jeszcze po harcersku wraz z innymi. Jednak musiałem przecież jakoś swoją winę „odcierpieć”. Skuteczną podporą słabego nocnego samopoczucia była wszak świadomość, iż nikt tam nie oczekuje ode mnie zrobienia okolicznościowych fotografii.

Owszem, podobnych przypadków „niedoskonałości fachu” było u mnie nieco więcej, dlatego jedynie dobremu sercu szefowej oddziału, jak też — mimo wszystko — sporej młodzieńczej aktywności „zawodowej”, zawdzięczać mogłem tolerowanie mnie jako korespondenta, równo dwie wiosny. Coś jednak w tarnowskim amatorze wreszcie zaskoczyło, bo na pożegnanie przygotowano nawet okolicznościową plakietę od redakcji.

Po kilku latach, pozwalających utwierdzić się w słuszności obranej drogi, a także za życzliwą sugestią warszawskiego nauczyciela radiowców, ruszyłem pod sam koniec tej dekady lat do Gdańska-Wrzeszcza, a ściślej do tamtejszej Rozgłośni Polskiego Radia przy ulicy Uphagena.

Udało mi się porozmawiać niemal po „koleżeńsku” z jej ówczesnym redaktorem naczelnym, a zarazem popularnym nie tylko na Wybrzeżu pisarzem-marynistą, Stanisławem Goszczurnym. Była później pomyślna próba mikrofonowa w studio i moja nadzieja na szybki etat.

Płonna niestety, bo przy wprowadzonej właśnie przez centralny radiokomitek, tzw. racjonalizacji zatrudnienia, sprowadzająca się jedynie do formy luźnej współpracy. Dostałem zresztą w jej ramach kilka tematów do radiowego „Kurier Morskiego”, montując nagrany materiał przy pomocy tamtejszego mistrza, uczynnego Pana Zbysia Romańca.

Czekać na lepsze redakcyjne czasy mogłem, lecz trzeba przecież z czegoś żyć. I tu nagła odmiana losu. Mam pracę w stowarzyszeniu, któremu przewodniczyła gdańska sława naukowej inżynierii, w osobie Pana Profesora Romualda Cebertowicza.

Ten emerytowany już wówczas wykładowca Politechniki Gdańskiej, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk, działał na wielu polach społecznej aktywności Trójmiasta, na co dzień pozostając jednak skromnym tamtejszym wyrazicielem polskiej myśli technicznej oraz innowacyjnej inżynierii na światową skalę.

Jako podwładny tego naukowca, „rzecznikując” często Jego działalności, czułem się ogromnie zaszczycony. Był niewątpliwie pierwszą tej miary Osobistością, którą z bliska poznałem.

Warto przypomnieć, że prof. dr inż. Romuald Cebertowicz jest twórcą nowatorskiej elektroiniekcyjnej metody zeskalania gruntów, zwanej od Jego nazwiska „cebertyzacją”. Zastosowano ją po raz pierwszy w 1949 r., na terenie Warszawy, podczas ratowania Kościoła św. Anny, a także budowy trasy W-Z. Wynalazek Polaka pomógł również ustabilizować pozycję słynnej Krzywej Wieży w Pizie, ale nie tylko.

Mam jeszcze w głowie opowieść Pana Profesora o osuszeniu oraz utwardzeniu bagiennej mocno obszaru w Chinach, przeznaczonego pod budowę ogromnej fabryki domów. Dotąd wszystko się tam zapadało, tonęło wręcz w morzu błota, dopiero „cebertyzacja” dała temu radę. Po powrocie do kraju nadszedł do naszego naukowca list z USA, zawierający spory wycinek nowojorskiej gazety, opisujący wspomniane „chińskie” działania gdańskiego uczonego. Opatrzony był znamienym tytułem: „Cebertowicz - Jak powiedział, tak się stało”.

Innym razem zaprosił Go do Montrealu tamtejszy morski Zarząd Portu. Nie umiano sobie bowiem poradzić z problemem śluz przy tzw. główkach wejścia, podczas wpływania statków na tor wodny. Okazał się ów kłopot stosunkowo łatwym do rozwiązania dla polskiej sławy inżynierii, co potwierdziła wkrótce dużo bezpieczniejsza żegluga w tym miejscu.

Do kraju wracać miał prof. Cebertowicz naszą jednostką floty handlowej. Zjawił się przy trapie o wyznaczonej porze, tymczasem kapitan frachtowca PLO z Gdyni wydawał się być mocno zmartwiony. W ciepły poranek słychać było w porcie taki mniej więcej dialog: „Przepraszam panie profesorze, ale musiałem umieścić pański samochód na pokładzie, bo brakuje już miejsca w ładowni”. „Jaki samochód, przecież przyleciałem tu samolotem” — zdziwił się Cebertowicz. „No ten, który dostał pan od portowych szefów za wybawienie ich z kłopotu” — wyjaśnia kapitan. A profesor na to: „Proszę natychmiast odstawić auto na nabrzeże, bo ja za niespełna dwie godziny rozważań, na taką aż podziękę nie zasłużyłem”.

Statek razem ze swoim jedynym pasażerem wkrótce odpłynął, a podarowany nowy samochód pozostał, trafiając prawdopodobnie w czyjeś kanadyjskie ręce. Bo tak właśnie zdecydowała Osoba o dużej wiedzy, tudzież chęci bezinteresownej przeważnie pomocy.

Sędziwy już naukowiec z Gdańska miał jeszcze wiele ciekawych pomysłów, związanych np. z uregulowaniem Wisły i umocnieniem jej linii brzegowej. Niestety, u nas nie wykorzystanych. Zresztą, sam Pan profesor Cebertowicz szczerze jednak przyznawał: „Owszem, moja metoda jest dość korzystna gospodarczo, lecz nie pod względem czynnika ludzkiego. Nie potrzebuje bowiem aż tylu ekip, różnych brygad i sprzętu. A to, niestety, oznaczałoby tworzenie polskiego bezrobocia”.

Dzięki życzliwemu wsparciu moich tamtejszych sąsiadów — lwowianki Pani Heleny Brygider oraz zaradnego i przyjaznego wielce Kolegi rodem z Podlasia — Romka Kotyńskiego, powoli byłem w Gdańsku lepiej już zadomowiony oraz pogodzony z losem. Aż tu któregoś dnia duża niespodzianka.

Jest telefon z Radia, abym zjawił się pilnie u szefa tamtejszej administracji. Idę i słyszę: „Mieliśmy jedno miejsce w ekipie radiowej z Warszawy, udającej się razem z wycieczką Juwenturu do ZSRR, aby nagrać tam materiał na zbliżający się jubileusz 100-lecia urodzin Lenina. Mają być w Moskwie, Kazaniu i gdzieś tam jeszcze. Nasz reporter zachorował, miejsce przepadło, ale jak pan wykupi sobie szybko tę wycieczkę, to będzie możliwość zapoznania warszawskich ważniaków, aby mieć ich poparcie co do pracy radiowej w przyszłości”.

Posiadałem tzw. wkładkę paszportową, był gdański oddział młodzieżowego biura podróży Juwentur, wyskrobałem na opłatę i udało się. Pod sam koniec października 1969 r. mamy ruszać. Jestem już prawie „na walizkach”, a tu znowu telefon z rozgłośni, od poznanego biurokraty. „Przysługa za przysługę” — powiada i prosi, żebym wstąpił po pracy do magistratu na Kartuskiej i odebrał tam klaser ze znaczkami dla zagorzałego filatelisty, honorowego mieszkańca Gdańska... generała Stanisława Popławskiego, osiadłego już od lat w Moskwie. „Nasz dziennikarz miał zabrać ten pakuneczek, a że nie jedzie, zaproponowałem pańską pomoc i życzę powodzenia” — uciął pan od administracji.

Tu mała dygresja. Popławski był już w tym czasie emerytowanym wyższym oficerem w stopniu sowieckiego i jednocześnie polskiego generała armii. Byłem dowódcą Wojsk Lądowych LWP oraz byłem wiceministrem obrony narodowej. A także jedną z tych kontrowersyjnych postaci w powojennych dziejach polskiego wojska, przede wszystkim co do swojego rodowodu, a także samodzielności ówczesnych poczynań. Faktem natomiast pozostaje, iż trafił na karty naszej żołnierskiej historii.

Klaser odebrałem następnego dnia i jazda pociągiem na stołeczny Dworzec Gdański. Grupę wycieczkową tworzyły osoby z różnych stron kraju, będące od razu pod wyraźnym urokiem zespołu radiowego. Dowodził nim redaktor Aleksander Lubański, znany z popularnej wtedy audycji „Popołudnie z młodością”, emitowanej w pierwszym programie PR.

Ale oto dotarliśmy koleją „szeroko szynową” do Moskwy, będziemy ją zwiedzali parę dni. Zaczęto od stałej wystawy osiągnięć gospodarczych, zwanej WDNH. W niej m.in. pojazd,

w którym Jurij Gagarin poleciał w kosmos. Po zajrzeniu przez małe okienko do wnętrza kapsuły, nasz podziw dla wyczynu tego Rosjanina niezmiennie wzrósł, gdyż to czym tam dysponował, wyglądało raczej na prymitywną improwizację.

Np. coś na wzór noszy w karetce pogotowia, z parcianymi pasami, jakiś pulpit pełen lampek wyglądających jak te choinkowe, a także mały iluminator usytuowany... za głową kosmonauty. Wykluczało to zapewne możliwość zobaczenia czegokolwiek na zewnątrz kabiny.

Jakże innymi warunkami dysponowali amerykańscy astronauta z programu Apollo. Wiem, gdyż sporo lat później oglądałem ich księżycowy wehikuł w muzeum lotniczym w Seattle i mam nawet zdjęcie przy nim. Wróćmy jednak na „wycieczkowe podwórko”.

W programie są kolejne moskiewskie zwiedzania, lecz mnie nurtuje głównie chęć jak najszybszego pozbycia się klasera. Wycieczka jedzie na Łużniki, odłączam się od niej po cichu, nagabując przechodniów o trasę dotarcia na ulicę Krymski Wał.

Wielu z nich nie wiedziało gdzie ona jest, za to była z ich strony propozycja, a raczej konkretna oferta: „Ej, inostraniec, pradaż czasy,„. Przypomniałem sobie wówczas krakowską anegdotę, opartą podobno na faktach. Oto, kiedy zaraz po wojnie jeden z mieszkańców został zapytany przez czerwonoarmistę „o godzinę”, to następny zegarek miał dopiero po trzech latach.

Mnie poszło lepiej, a ponieważ poszukiwany adres okazał się być oddalonym zaledwie o półtora kilometra, poszedłem tedy pieszo przez opiewany w piosenkach artystów Arbat. Odnajduję pożądaną obiekt, czyli wysoką przedwojenną kamienicę pod numerem 4, vis a vis budowanego wówczas hotelu... „Warszawa”. Tymczasem niespodziewanie pojawia się dla mnie pewien problem.

Na parterze domu dla emerytowanych wojskowych dygnitarzy funkcjonowała bowiem „recepca”, z leciwym już, lecz bojowym nadal wartownikiem. „Propusk jest? Niet? Paszoł won!”. Chwila mego zastanowienia i decyzja. Udam, że odchodzę, zrobię w tył zwrot i biegiem na strome schody obok windy. Udało się. Zasapany dotarłem na 5 piętro, jest tabliczka na drzwiach, dzwonię.

Otworzył mi sam generał, wysoki, siwy i bardzo już szczupły. Zaprosił do pokoju, podziękował za znaczki i poszedł do kuchni zrobić „czaj” w zastępstwie chorującej żony. W gabinecie na ścianach kilka batalistycznych obrazów z wojny, także widok gdańskiej Starówki oraz... duży proporzec CWKS Legii Warszawa. Rozmawialiśmy krótko, „po żołniersku”. Na koniec, raz jeszcze podziękował za klaser.

Schodząc na dół uczyniłem podobny manewr obok wartowni, tym razem w odwrotnym kierunku. Pozwolił mi on uniknąć odwetu dyżurnego „portiera”. Za to po powrocie do hotelu

i wytłumaczeniu powodu nieobecności, dostałem tęgą burę od redaktora Lubańskiego, że ja ani słowa wcześniej o spotkaniu z Popławskim.

„Bylibyśmy też chętnie poszli i nagrali, bo to dawny szef, a teraz kolega Jaruzelskiego” — ubolewał pan Alek. Zacząłem i ja również żałować, iż możliwość zjednania sobie stołecznych radiowców, już na początku wspólnej podróży przeszła mi koło nosa.

Nawet zarobienie kilku „punktów” podczas naszego pobytu w Uljanowsku-Sybirsku nie poprawiło wzajemnych relacji, chociaż starania z mej strony były duże.

Oto w tamtejszej podstawówce — dumnej wielce z posiadania ponoć autentycznej ławki młodzieńczego Wołodii i pilnie strzegącej tego szkolnego mebla wręcz pod groźbą „kibitki” — usadowiłem swoje cztery litery na twardym siedzisku eksponatu.

Za moim przykładem poszła część wycieczki, co tamtejszy wąsaty woźny o monsturalnej, niedźwiedziej wręcz sylwetce, skwitował groźnym łkaniem: „Nie uszanowali Iljicza, cała jego rewolucja na marne...”.

Dlatego na wszelki wypadek, moja opublikowana potem na łamach „Wieczoru Wybrzeża” relacja z owej podróży, nosiła samokrytyczny tytuł: „Siedziałem w ławce Lenina”.

Summa summarum, skromny okazał się jednak efekt obiecywanych profitów po wyprawie z warszawskimi radiowymi „bonzami”. Ale jak pokazał cały późniejszy bieg osobistych zdarzeń — chyba na szczęście. Czy odegrał w tym jakąś rolę mój „czepek na głowie” po urodzeniu? Być może.

Na sportową nutę

Niemal każdy lwowianin ma w sobie coś z przymusowego wędrowca. Ja nawet „za dwóch”. Stąd po paroletnim okresie sympatycznego obcowania z gdańskim Wybrzeżem, zatęskniwszy za południowymi stronami, wróciłem do „swojego” Tarnowa, gdzie zamierzano otworzyć profesjonalny oddział bardzo popularnej w całym kraju gazety — katowickiego „Sportu”.

Kiedy zaczął funkcjonować, objął również swoją dziennikarską obsługą wyczynowe ośrodki w Krośnie, Sanoku, Gorlicach, a nawet także... w Zakopanem.

Zostałem jednoosobową „załogą” oddziału redakcji, czyli wreszcie żurnalistą „na etacie”. Wkrótce dołączyła też do tego funkcja korespondenta krakowskiej rozgłośni Polskiego Radia, ale dotycząca już ogólnej, lokalnej tematyki.

W tymże samym czasie przytrafiło się pewne zdarzenie, nie związane co prawda z moją pracą reportera, lecz na tyle zaskakujące, iż warte wspomnienia.

Oto otrzymuję przesyłkę poleconą, a w niej wezwanie do stawienia się za trzy dni w tarnowskiej komendzie milicji obywatelskiej, pokój numer taki a taki. Pomyślałem o jakimś podpadnięciu „drogówce”. Na wszelki wypadek pytam jednak spotkanego na ulicy dzielnicowego, co to za „pion” chce mnie widzieć? Ten spojrzał na druk i wyraźnie usztywniony rzekł: „Musiał pan nieźle narozrabiać, bo to numeracja SB”.

Był już wtedy okres stopniowej gierkowskiej „odwilży”, zachodnie towary i cywilizowane bardziej normy życia. O co więc chodzi? Stawiam się o wyznaczonej porze, w pokoju jest dwóch cywilów. Jeden za pokaźnym biurkiem, drugi przy maszynie do pisania. Najpierw sprawdzenie moich personaliów, a potem ten za biurkiem pyta: „Dlaczego wasz ojciec nie ujawnił się zaraz po wojnie?”. Oniemiałem, gdyż od niej tyle czasu już minęło, tato od kilku lat nie żyje...

Odzyskawszy rezon mówię, że chociaż z tych czasów mało pamiętam, to mniemam, iż gdyby się wtedy ujawnił, to może byłby martwy znacznie szybciej. Coś tam pomruczeli obaj pod nosem oraz skonsultowali wzajemnie sprawę, pozwalając wrócić do domu.

A w nim „główkowanie”, skąd ci młodzi przecież faceci wiedzieli, że ojciec był w lwowskiej AK i miał pseudonim „Oset”. Nawiasem mówiąc, ów okupacyjny przydomek nie wynikał z jakiejś ostrości działania taty, a raczej z chęci „zaszyfrowania” w ten sposób swoich własnych inicjałów. Dlaczego jednak tak późno pytają, i w ogóle — jak to współcześnie możliwe?

Dopiero dawny kolega ze szkoły, mający na miejskim cmentarzu grób rodziców obok naszego rodzinnego, otworzył mi oczy. „Przecież przychodzą i tutaj, penetrują napisy na płytach, aby zasłużyć na premię”. Rzeczywiście, na przedniej ścianie grobu była taka treść, zgodna zresztą z wolą Taty. Więcej mnie już jednak w tej sprawie nie indagowano.

Wróćmy zatem na medialno-sportowe terytorium. Do moich obowiązków należał m.in. cykliczny — niemal co tydzień — parodniowy zwykły pobyt w redakcyjnej „filii” pod Tatrami, korzystającej z gościnności Centralnego Ośrodka Sportu przy ul. Bronisława Czecha (wówczas jeszcze „Ośrodka Przygotowań Olimpijskich”). Nie mogłem narzekać nigdy w Zakopanem na brak obecności tzw. VIP-ów oraz ciekawych osobowości, nie tylko z grona „fizycznej kultury”.

Do postaci z pogranicza owych sfer należała bez wątpienia siostra Helena Warszawska, ikona górskiego pielęgniarstwa, dobry duch sportowców różnych dyscyplin, a przede wszystkim skoczków narciarskich. Nie było turnieju na Wielkiej Krokwi, aby nie zdominowała go gustownym ubiorem i medycznym wsparciem. Lubiła też bardzo przychodzić na ciastka do

hotelowej kawiarenki, stąd okazja do pogawędek z podobnym Jej smakoszem — co „bez bicia” przyznaję.

Dopiero jednak po latach, podczas mego prywatnego już dotleniania się pod Giewontem, zaskoczyła znajomego żurnalistę wielce radosnym wyznaniem: „Otrzymałam własnoręcznie napisane pozdrowienia od Jana Pawła II, wraz z życzeniami na Boże Narodzenie”.

Tę dostojną więź uzasadniła następująco: „Dawno temu, podczas zawodów na skoczni zauważyłam wśród widzów samotnego mężczyznę w czarnym kapeluszu, wyraźnie zziębniętego. Podeszłam mówiąc: +Dam ci kubek herbaty synku, boś przemarznięty+”. Tym człowiekiem okazał się być kardynał Karol Wojtyła, przyszedł papież.

Odnutowałem tę zaskakującą wielce, zakopiańską ciekawostkę, medialnie — chyba jako pierwszy w kraju.

* * * *

Od początku mego służbowego goszczenia w Zakopanem, jak również na pozostałym obszarze wyczynowo redakcyjnej „obsługi”, miałem świadomość odpowiedzialności jaka na mnie ciąży. Poczucie, iż nie przyjeżdżam tam „na wczasy”, że powinienem dać z siebie coś więcej niż tylko jakiś ciekawy news, obszerna analiza procesu treningowego którejś z reprezentacji lub krytyka złej pracy danego klubu.

Przekonanie było, z jego realizacją jednakowoż gorzej. Czekałem więc na jakiś szczególnie wyrazisty i przydatny w mojej karierze impuls.

„Pamiętaj, że w naszej codziennej pracy potrzebne jest wyczucie ciekawego tematu, w tym również szans danego sportowca. Słowem, trzeba mieć tego przysłowiowego nosa” — pouczył mnie wkrótce redakcyjny szef, a potem także uprzejmy kolega, Redaktor Lech Drapiński. Traktując wówczas Jego słowa zbyt dosłownie i biorąc je mocno do serca, zacząłem rozglądając się pilnie dookoła, zwłaszcza w zakopiańskim OPO.

Wypatrywałem osoby mogącej w przyszłości zostać — moim zdaniem — championem krajowego wyczynu, w tej czy innej dyscyplinie. Nie było to łatwe, gdyż w górskim środowisku przebywali na obozach niemal sami tylko sportowi medaliści, albo pretendenci do podium. Jednak pewnego dnia coś drgnęło.

Słyszę oto od trenera lekkoatletów Tarnovii, Pana Emila Wzorka, że ma w swojej grupie wielce utalentowanego młodzika, któremu — odwrotnie do opinii innych szkoleniowców — wróży sukcesy w biegu średniodystansowym.

Dzwonię do Katowic, awizując szefowi materiał poświęcony potencjalnemu talentowi, który chciałbym „wypromować”. Dowcipny mój rozmówca radził jednak nie przesadzać z tym kandydatem na championa, bo „jego talent może się okazać zbyt głęboko ukryty”.

Postanowiłem mimo wszystko „pójść na całość”, przekazując do „Sportu” dalekopisem obszerny tekst, godny uhonorowania „medalowego mistrza”. Ukazał się w gazecie, wzbudzając sporo kontrowersji zarówno w samej redakcji, jak też w wyczynowym środowisku lekkoatletów.

Gdzieś rok później — niespodzianka. Dzwonią ze Śląska, że mój „protegowany”, Feliks Wawrzon, został mistrzem Polski juniorów na dystansie 800 metrów, a przy okazji — rekordzistą Europy do lat 18.

Krajowe „złoto” jako junior, wywalczył zresztą jeszcze trzykrotnie z rzędu. Trafił też szybko do pierwszej reprezentacji seniorów i był biegowo czwarty na Mistrzostwach Europy w Duisburgu — najwyżej z Polaków. Jego transfer do Legii Warszawa przyniósł zaś tamtejszej sekcji „królowej sportu”, srebrny medal Mistrzostw Armii Zaprzyjaźnionych w Hawanie, w 1977 roku.

Życzliwy szef-kolega Drapiński przyznał oficjalnie, iż miałem dobrego „nosa”, chociaż po cichu dodał: „Dość fartownie to się jednak ułożyło”. Od tej pory, na wszelki wypadek, wolałem już więcej nie przepowiadać tak kategorycznie oraz nie przesądzać o czymś sportowym losie. Słowem, stać się reporterem stąpającym twardo „po ziemi” w kwestii ewentualnych karier.

* * * *

Moje sportowe pisywanie, zwłaszcza to „tatrzańskie”, owocowało osobistą znajomością, a nawet również serdeczną więzią z bardzo popularnymi w kraju osobami, takimi jak: „Dziadek” Stanisław Marusarz, legendarny skoczek narciarski i bojownik ruchu oporu, jak Edward Budny — znakomity trener, wychowawca dwukrotnego — złotego i brązowego — medalisty mistrzostw świata w biegach narciarskich, Józefa Łuszczka, jak doskonały polski alpejczyk Andrzej „Ałus” Bachleda oraz utalentowane siostry Tlałki, jak wreszcie goszczący latem z kadrą w OPO, wybitny szkoleniowiec naszych siatkarzy — Hubert Jerzy Wagner, potocznie zwany „Katem”.

Z Nim to właśnie mogłem nagadać się do woli, ku zazdrości delegowanych jedynie okolicznościowo do Zakopanego żurnalistów innych redakcji. Moim dodatkowym atutem był rosyjski telewizor Rubin, który na polecenie sprzyjającego gazecie i mojej osobie, dyrektora OPO - COS, Pana Kazimierza Moździerza, tkwił dumnie w hotelowym „pokoju-redakcji”.

To było istotne udogodnienie, gdyż w owym czasie ośrodek przy ul. Czecha nie miał jeszcze odbiorników TV we wszystkich pokojach gości. Ustawiono za to duży kolorowy telewizor w świetlicy na parterze, obok wejścia do kawiarenki.

Tłok panował tam okropny, bo grup sportowych multum. Wagner wolał więc oglądać wieści oraz relacje sportowe w mniejszym gronie, nie skąpiąc przy okazji różnych wypowiedzi i informacji na wyłączność redakcji katowickiego „Sportu”.

Niestety, było to jeszcze nieco miesięcy przed Jego własnym oraz podopiecznych „Kata”, historycznym „złotym” triumfem olimpijskim w Montrealu. Po tej wspaniałej victorii, przebywał On już ze swoją kadrą w typowo specjalistycznych siatkarsko ośrodkach i nasze kontakty ustały.

* * * *

Wkrótce udało mi się na szczęście pozyskać kolejnego, równie ciekawego rozmówcę, także dopiero co po powrocie w 1976 roku ze szczęśliwego dla nas Montrealu. Do zakopiańskiego COS-u przyjechał bowiem na odpoczynek, razem ze swoją „brązową” drużyną piłki ręcznej, współautor owej miłej olimpijskiej niespodzianki, trener reprezentacji Polski — Pan Stanisław Majorek.

Powiedział skromnie, że o wywalczeniu medalu na igrzyskach — pierwszego zresztą w naszej olimpijskiej historii tej dyscypliny — przesądzieli sami zawodnicy. „Oni po prostu chcieli być dobrzy i nie zadowalał ich połowiczny sukces”.

Według znakomitego fachowca — który potem odniósł także wiele sukcesów w pracy z zagranicznymi drużynami z Europy i Azji — powołani kadrowicze, jak m.in. fenomenalny bramkarz Andrzej Szymczak, doskonali gracze „w polu”: Jerzy „Kukuś” Klempel, Jan Gmyrek, Alfred Kałuziński, Jerzy Panas czy Daniel Waszkiewicz, nie byli nigdy ani przez chwilę minimalistami, bo receptą na wyczynowy sukces są właśnie zaangażowani zawodnicy, talent poparty pracą oraz umiejący wykorzystać wspomniane walory — sztab kadry.

Gratulując Panu trenerowi Majorkowi i Jego podopiecznym wyniku, pytam, czy jest szansa powtórzenia sukcesu na następnych igrzyskach olimpijskich? Pada odpowiedź: „Owszem, ale

musimy obrać kurs na kluby młodzieżowe, preferując klimat rzetelnej oraz metodycznej pracy. Nauczmy chłopaków solidnej techniki — jak na Zachodzie — bo handball w jakimś topornym wydaniu, zbyt siłowy i bez polotu, nie zapewni nikomu osiągnięć”.

Rzeczywiście, dopiero po następnych bez mała kilkudziesięciu latach i przewycięzeniu okresu zadziwiającej stagnacji, nasz męski reprezentacyjny „szczypiórniak” zaczął nawiązywać — przynajmniej co do doboru zawodników oraz obrazu gry — do poziomu biało-czerwonej ekipy z czasów niespodziewanego, acz wielce radosnego montrealskiego osiągnięcia.

Już po spotkaniu zreflektowałem się, że przecież przed dziesiętkiem lat, relacjonując dla „Dziennika Polskiego” przebieg międzynarodowego turnieju młodzików i juniorów w piłce ręcznej, rozgrywanego na asfaltowych boiskach ówczesnego klubu MDK w Tarnowie, zetknąłem się po raz pierwszy z Panem Trenerem Majorkiem.

Mając na głowie fryzurę w efektownego „jeża”, dowodził energicznie zespołem niepokąlnych „berbeciów”, podających do siebie małą, skórzaną piłkę. Z nich to wyrosło potem grono sportowców, których podziwiała niemal cała handballowa Polska. Najpierw trafili szkolnym składem do dawnej I ligi państwowej, a później do reprezentacji kraju, różnych kategorii. Jeden z nich — Franciszek Gąsior — był nawet w olimpijskiej drużynie Polaków.

Dlatego „pochwaliłem” sam siebie za celne wówczas słowa dla gazety, że: „Przed szkoleniowcem Stanisławem Majorkiem rysuje się owocna przyszłość”.

* * * *

Tymczasem życie w zakopiańskim ośrodku toczyło się nadal swoim żywym i ciekawym rytmem, który mogłem dziennikarsko obserwować. Zwłaszcza, iż przebywający „na okrągło” w OPO reprezentanci różnych specjalności, tworzyli tam barwny konglomerat sylwetek, jak też zachowań.

Ich ogniskową była hotelowa jadalnia, przypominająca lotniczy hangar, jednak pełen długich stołów i masy stolików. Po ich nakryciu widać było — kogo ugoszczą.

Np. dla ciężarowców, zapaśników obu stylów, judoków, czy bokserów wyższych wag, stawiano na obrusach wyjątkowo głębokie talerze i wazy, także całe „wiaderka” ziemniaków, góry „schabowych” oraz okazałe szklanice.

Kontrast był wyraźny, zwłaszcza wobec pojemności naczyń szykowanych gimnastykom, lekkoatletom, lub takim jak ja „ceprom”. Nie dziwota więc, że oczekujących na tarasie hotelu

kolegów, obdarzony potężną sylwetką i równie litościwym sercem, zapaśnik Adam Sandurski, wzywał na obiad niezmiennie tymi samymi słowami: „Chłopaki, idziemy do koryta”.

Ośrodek przy ul. Bronisława Czecha zyskał niebawem COS-owskiego „brata” w postaci hotelu Imperial, pod Nosalem, gdzie stworzono sportowcom jeszcze wygodniejsze warunki wypoczynku i odpowiedniej diety. Jedynym zagrożeniem okazała się być pobliska gastronomiczna „Chata góralska”, z wywieszoną na zewnątrz ludową sentencją: „Cyś ty chłopie łosioł, cy ty ni mos rozumu? Karcma stoi przy drodze, a ty idzies do domu?”.

Na ile była to skuteczna zachęta — wolę już nie dociekać, ani pamiętać ...

* * * *

Dostaję w końcówce czerwca 1974 roku telefoniczną wiadomość z Katowic, od zaprzyjaźnionego redaktora Adama Jaźwieckiego, że już za parę dni, z początkiem lipca, będzie w Tarnowie na obozie treningowo-kondycyjnym kadra śląskich juniorów w piłce nożnej, pod wodzą naszego byłego futbolowego asa, Gerarda Cieślika.

Mam do Niego dotrzeć i zrobić reportaż z przygotowań przyszłych gwiazd Ruchu Chorzów, Górnika Zabrze, czy Polonii Bytom. Nie mogłem się doczekać spotkania.

Za „poligon” boiskowy kadry służyły obiekty klubu sportowego „Tamel”, położone na peryferiach miasta, w sosnowym lasku „Piaskówka”. Odczekawszy kilkudniową adaptację młodych Ślązaków w nowym środowisku, docieram przed południem do ich bazy treningowej.

Widok — po raz pierwszy „na żywo” — zapracowanej legendy naszego powojennego piłkarstwa, nieco mnie zdeprimował, ale już po chwili zostałem przez Pana Gerarda życzliwie potraktowany. „Niech pan patrzy uważnie co robimy, aby potem jakichś głupot w gazecie nie było” — stwierdził z istic śląskim pragmatyzmem oraz humorem.

Przyglądałem się więc pilnie, notowałem słowa Trenera o przebiegu zgrupowania, stawianych celach i wyróżniających się uczestnikach letniego szkolenia.

Kiedy mój pobyt tam dobiegał już końca, słynny Cieślik zaproponował wspólne obejrzenie „konkursu” rzutów karnych dla juniorów, podsumowującego popołudniowe zajęcia. Nie szło im zbyt dobrze, dlatego nie omieszkałem wspomnieć o mojej umiejętności strzelania „jedenastek”. Szybko przyszło mi tego pożałować.

„Skoro z redaktora taki kozak, to spróbujmy obaj” — rzekł. Na trzy oddane po kolei strzały, trafiłem raz, chyba z litości bramkarza. Mój Wielki Rywal wyrównał już po pierwszym karnym, aby dwa następne — bez wątpienia celowo — skierować obok słupka i nad poprzeczkę. „Teraz

może się pan autentycznie pochwalić, że w karnych zremisował z Gerardem Cieślikiem” — stwierdził na zakończenie Mistrz Futbolu.

Doceniłem mocno Jego przekorną życzliwość i rzetelny wielce charakter, nie mówiąc długo nikomu — a tym bardziej nie pisząc — o owym piłkarskim „wydarzeniu”. Przywołuję je dopiero teraz, z szacunku dla godnej pamięci o tym wspańiałym Zawodniku, a potem cenionym Szkoleniowcu.

* * * *

Nie kryję, że moim dziennikarskim, ale też i osobistym pragnieniem, było spotkanie i rozmowa z legendarnym trenerem polskiej piłki nożnej — Panem Kazimierzem Górskim. W czasie własnych kontaktów zawodowych ze światem sportu, okazało się to jednak niemożliwe. Dopiero po wielu latach, już na warszawskim gruncie, los był dla mnie łaskawszy.

Od czasu do czasu chodziłem na stadion Legii oglądać ligowe mecze piłkarskie, widząc na trybunie Pana Kazimierza. Lecz okazji do podejścia i wszczęcia rozmowy nie było, aż tu kiedyś znalazłem dogodny pretekst. Udało mi się kupić książkę o wybitnym polskim kartografie — profesorze Eugeniuszu Romerze, naukowej wizytówce przedwojennego Lwowa.

Pomyślałem zaproponować Panu Trenerowi Górskiemu wypożyczenie mojego nabytku, a przy okazji poznać bliżej cenionego rodaka. Awizowano właśnie kolejny mecz na Łazienkowskiej, wziąłem więc książkę „Geograf trzech epok”, aby w przerwie zawodów podejść stremowany do Szkoleniowca.

Był nieco zaskoczony moim „wtargnięciem”, jednak po chwili wyjaśnień bardzo się ucieszył z możliwości lektury o człowieku, na którego atlasie i mapach kształciło się kilka pokoleń Polaków. W dodatku rodowitego Obywatela naszego miasta, wykładającego całe lata na lwowskim Uniwersytecie Jana Kazimierza.

Ustaliliśmy termin i miejsce odbioru „Romera” i kiedy przybyłem do siedziby Polskiego Związku Piłki Nożnej, czekała mnie miła niespodzianka. Oto wewnątrz książki znalazłem odręczny list trenera Górskiego do mnie, w którym pisze On m.in.: „(...) Dziękuję za umożliwienie przeczytania książki. Wróciłem pamięcią do pewnych miejsc opisanych w książce, bo niektóre z nich były moją drogą do gimnazjum, jak ulica Leona Sapiehy, Politechnika, Ogród Jezuicki, itd. Sama książka ciekawa. Przeżycia człowieka, Wielkiego Polaka. Nigdy nie wiadomo, co los i życie przyniesie. (...).

Przechowuję tę korespondencję troskliwie, gdyż jest niespodziewaną i cenną pamiątką po skromnej Osobie, która zarówno własnym życiorysem, jak też boiskowymi dokonaniem udo-
wodniła, że także w futbolu Polacy potrafią sięgać po światowe laury. Że „mecz można wygrać,
przegrać, albo zremisować”, gdyż dla każdego „piłka jest okrągła, a bramki są dwie”. Dlatego
warto pracować nad sobą i wierzyć w sukces.

* * * *

Wracając ponownie do własnej sportowej żurnalistyki drugiej połowy lat 70-tych, wspomi-
nam też miło niespodziewany redakcyjny ”prezent”, kiedy to wraz z młodymi reprezentantami
polskiej piłki ręcznej pojechałem do Budapesztu, a konkretnie do tamtejszego wielce zasłużo-
nego, wielosekcyjnego klubu Honved. Podczas kilkudniowego turnieju mieliśmy bazę nocle-
gową w równie znanym jego ośrodku szkoleniowo-hotelowym, na Wzgórzu Gellerta.

Już sam ten obiekt wywoływał dreszcze wspomnień, bo przecież to w nim przygotowywały
się do międzynarodowych bojów takie gwiazdy światowego futbolu, jak m.in. Ferenc Puskas,
Jozsef Bozsik, Gyula Grosics, Sandor Kocsis czy Zoltan Czibor.

Korytarze ośrodka i jego sale pełne były zdjęć słynnych wychowanków Honvedu, a nas
bardzo też ciekawiło, w którym to pokoju kwaterował Puskas. Zobaczyliśmy dość skromne
pomieszczenie z dwoma tapczanami, wskazano nam ten, zajmowany ongiś przez Wielkiego
Ferenca. Ów pokój pełnił już wtedy funkcję niemalże „narodowego muzeum” węgierskiego
futbolu. Był swoistym wyrazicielem światowej legendy o tym Piłkarzu.

Legendy „za życia”, bowiem Puskas zmarł po długiej chorobie w 2006 roku. Jednak skoro
weszliśmy już do owego „sanktuarium”, to trudno było odmówić sobie — ze mną włącznie —
dostąpienia samowolnego zaszczytu „przycupnięcia” na skraju łoża pamiętnej sławy Madzia-
rów, Honvedu, a również Realu Madryt.

Wytknięto nam zaraz grzecznie „niestosowność takiego postępu”, lecz on i tak pozostał
faktem. Szkoda tylko, że nie miał później żadnego odniesienia do moich rekreacyjno-futbolo-
wych umiejętności.

Witajcie piaski Mazowsza

Przeciąganie własnego kawalerskiego stanu straciło już swój urok, ale ożenek z warszawianką — Irminą, sprawił, iż teść zażyczył sobie mieć nas razem u siebie. Dokonało się to podczas burzliwego czasu „Panny S”, kilka miesięcy przed stanem wojennym.

Dwukierunkowe starania o pracę — w Polskim Radiu, jak też w Polskiej Agencji Prasowej PAP — ostatecznie wskazały na tę drugą opcję. Głównie dzięki temu, że ówczesnym szefem agencyjnej Redakcji Krajowej był życzliwy człowiek pochodzący z „galicyjskich stron” — Pan redaktor Bożydar Sosień. Jak teraz widać, wybór okazał się dość trafny, gdyż „zakotwiczylem” w centrali PAP do emerytury, a nawet potem — na podstawie umowy o dzieło — jeszcze 8 lat dłużej.

Minęło jednakże trochę czasu od mojej służbowej „inicjacji”, zanim mogłem się połączyć w warszawskich służbowych ścieżkach oraz klimatach, zanim otrzymałem bardziej odpowiedzialne zadania. No i zaczęły się one od mojej „dyplomatycznej” wpadki.

Mam polecenie udania się w którąś sobotę do Ambasady Węgier, na jakiś okolicznościowy raut. Zobaczyć, kto z polskich dostojników na nim będzie, upewnić się co do nazwisk, następnie wrócić do Agencji, „wypuszczając” zwyczajowy komunikat.

Mocno przejęty i stremowany, chcąc być na czas, zjawiłem się w gmachu ambasady prawie... pół godziny wcześniej. Wchodzę do holu, a tam cicho i pusto. Czyżbym pomylił datę i lokalizację? Naraz po stromych schodach z piętra, schodzi ostrożnie tęgawy, elegancko ubrany mężczyzna. Pytam, czy nie wie, gdzie ten bankiet będzie? Pada odpowiedź w łamanej polszczyźnie: „Przypadkowo wiem, bo jestem ambasadorem Węgier”.

Potem było wszak tam ze mną „jak należy”, lecz już na reporterskim starcie — pewien blamaż oraz nauczka na przyszłość.

* * * *

Ktoś chyba chciał mnie dobrze sprawdzić, skoro również w początkowej fazie mojego papowskiego „rozruchu”, posłał służbowo do wyjątkowo „upiornego” pod względem wymagań miejsca, czyli do Kancelarii Przewodniczącego Rady Państwa, prof. Henryka Jabłońskiego, w Belwederze. Tam na ogół nie przygotowywano swoich pomocniczych materiałów, dręcząc później dziennikarzy własnym wyobrażeniem „prawidłowego” tekstu.

Jest przedpołudnie, rozpoczyna się jakaś krajowa „dęta” narada, pada dużo słów, a konkretnej treści w nich mało. Zrób tu więc z tego człowieka wymaganą, strawną informację. Noto- wałem pośpiesznie, skrótami, aby potem w redakcji rozwinąć zapiski, wygładzić z sensem i nadać „w Polskę”. Po paru godzinach jest wreszcie koniec tej „nasiadówki”.

Zbieram się ochoczo do wyjścia, lecz oto słyszę od sekretarki przewodniczącego: „Ma pan tu teraz szybko napisać, a ja ten tekst zaniosę szefowi do akceptacji. Już włączam maszynę i może pan dyktować”. Jakim cudem, skoro w głowie powstał nagle zamęt i jestem niemal „ugotowany”. Nie nawykłem pisać w takim tempie „na czysto”, bez zastanowienia, w dodatku o sprawach „wagi państwowej”.

Po lekkim ochłonięciu, udaję wnikliwą analizę notatek. Coś skreślam, coś dopisuję w no- tesie, a pani sekretarka nie kryje zniecierpliwienia. Jej elektryczna maszyna do pisania, zresztą też. „No, niech pan już wreszcie zacznie dyktować, bo jak znam przewodniczącego, to i tak będzie pan musiał poprawiać tekst kilka razy”. Dobiła mnie tymi słowami całkowicie.

Zacząłem być zubożniały na wszystko. Podnoszę głowę, rozglądam się po pokoju dostrze- gając wówczas zawieszony nad biurkiem sekretarki duży drzeworyt, przedstawiający dumnego orła. „To dawny dar mieszkańców Wilna dla marszałka Piłsudskiego. Leżał całe lata w tutej- szym magazynie, ktoś go stamtąd przyniósł i teraz wisi u mnie” — wyjaśnia pani.

W tej samej prawie chwili ów orzeł zaczyna „strzelać”, wydawać suche głośne dźwięki, przypominające swoim tonem wystrzeliwane kule. „Z nim tak zawsze. Z winy belwederskiej klimatyzacji. Drewno się napręża zaczynając hałasować, chociaż niektórzy mówią, że w ten sposób orzeł mści się za obcięcie mu po wojnie koronę” — uspokaja sekretarka.

Och, jakże polubiłem dodatkowo tego dumnego ptaka, co nie przeszkodziło jednak począt- kującemu papawcowi w wykorzystaniu orła do własnego, „przewrotnego” celu. Padło bowiem moje stanowcze oświadczenie: Wychodzę, gdyż w takich warunkach nie da się pracować. „Co ja mam powiedzieć przewodniczącemu?” — zmartwiła się kobieta.

Opuściwszy szybko Belweder, już w redakcji — z trudem, bo z trudem — „spichciłem” stosowną depeszę, która ujrzała nieomal światło... wieczorne. Jednak bez późniejszych urzę- dowych konsekwencji wobec mojej osoby, a i chyba bez nadmiernego zainteresowania ową relacją ze strony czytelników gazet.

Niedługo potem ktoś przekazał mi natomiast przykrą wieść, iż orzeł Marszałka Józefa Pił- sudskiego trafił ponownie do piwnicy.

Teraz, w dobie komórek różnych marek, wygodnych smartfonów, tabletów i laptopów, chęć posiadania w domu stacjonarnego telefonu zeszła na bardzo daleki plan, albo i całkiem wygasła. Cóż, taka cena technologicznego postępu.

Lecz jeszcze z początkiem lat 80-tych ów prywatny aparat był autentycznym „dobrem”, niezwykle pożądanym i trudno osiągalnym. Ludzie imali się różnych sposobów, aby w ich mieszkaniu stał na stoliku, czy wisiał na ścianie dzwoniący, upragniony „gadżet”. Dziennikarze również, w tym i ten z rządowej wówczas agencji.

Mieszkając na Ursynowie nie miałem domowego telefonu, tak zresztą jak zdecydowana większość ludzi z tej dzielnicy. Może to było nawet dobre w moim przypadku, gdyż mogłem unikać „okolicznościowych” wezwań przez PAP, w przeciwieństwie do innych redaktorów z mojej firmy. Jednak rodzinie i towarzysko — brak aparatu oznaczał duży kłopot. W dodatku ranił mocno moją zawodową ambicję.

Wyczuł to jeden z kolegów w redakcji i „podgrzał” atmosferę. „Nie bądź frajerem, innym szybko załatwiali, a tobie nie? Pisziesz na temat łączności, a jesteś jak ten szewc, co bez butów chodzi”. Adrenalina podskoczyła, przyjąłem plan działania o charakterze „nękającym”.

Od tej pory na każdej konferencji prasowej w resorcie łączności, na każdej ważnej naradzie i ogólnym spotkaniu mediów z ministrem, rozpoczynałem służbową aktywność od osobistego raczej zapytania: Kiedy ja nareszcie przestanę być lekceważonym przedstawicielem agencji, kiedy będę miał możliwość szybkiego kontaktu ze służbowym otoczeniem? Efektu nie było, więc nasilenie „lamentów” wobec szefa resortu — wzrosło.

Po paru miesiącach takiej „ofensywy”, wielce dobroduszny z natury i zawsze opanowany Pan prof. Władysław Majewski — ceniony nie tylko jako minister łączności, lecz również wybitny specjalista i naukowiec Politechniki Warszawskiej w dziedzinie telekomunikacji światłowodowej — nie wytrzymał.

Wezwawszy szefa swojego ministerialnego gabinetu, gromko oznajmił: „Jeśli ja jeszcze raz usłyszę, że ten redaktor nie ma telefonu, to albo mnie szlag trafi, albo kogoś z was”.

Nie trafił na szczęście nikogo, bo po paru dniach w moim mieszkaniu zjawiło się dwóch monterów, rozwiązując techniczny problem. Przyznaję się do naganego postępowania w tej sprawie, aczkolwiek nieco usprawiedliwiał mnie wówczas stan tzw. wyższej konieczności.

Starałem się potem odpłacić winę udostępnianiem aparatu, przez długi czas, wszystkim potrzebującym lokatorom. A także... ganiem do Agencji o różnej porze dnia, a nawet niekiedy

i w nocy — na nagłe telefoniczne wezwania. Np. aby zastąpić wyczerpanego do cna kolegę, po wielogodzinnych negocjacjach ze związkowcami, prowadzonych przez Jacka Kuronia.

Wreszcie miałem to, czego usilnie chciałem...

* * * *

No właśnie, przez domowy telefon skierowała mnie też redakcja w czyimś zastępstwie do ówczesnego Ministerstwa Administracji. Miała się tam odbyć ogólnopolska uroczystość uhonorowania dużej grupy strażaków-wolontariuszy oraz gminnych działaczy samorządowych „od wszystkiego”, okolicznościowymi medalami za aktywną pomoc w usuwaniu skutków suszy oraz późniejszej powodzi.

Owa impreza zasługiwała co prawda na uwagę, lecz raczej nie na nadmierną. Tymczasem miałem ją dość obszernie zrelacjonować. Przyszło więc naciągnąć tę „oficjałkę” do maksymalnych granic.

Towarzyszyła jednak owej uroczystości dość zabawna niespodziewanie sytuacja, pozwalająca człowiekowi dłużej ją zapamiętać. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie, aczkolwiek nie odzwierciedliłem jej wtedy w długim papowskim tekście, z przyczyn raczej oczywistych.

Zaczął się od paru oficjalnych przemówień decydentów. Potem odznaczenia zaczęli wręczać jednocześnie: minister oraz komendant krajowy Ochotniczych Straży Pożarnych. Mimo, że sala była olbrzymia, równie wielu nominowanych do wyróżnienia utworzyło pod ścianami swoisty łańcuch, a raczej okrąg mocno „ściśniętych garniturów”.

Aby nie przedłużać nadmiernie owej ceremonii, komendant zaproponował ministrowi podział zadania: pół na pół. „Ja zacznę od środka w prawo, a pan minister w lewo”. No i zaczęli.

Tu krótka informacja urzędowej raczej natury. Według przepisów, wysokie odznaczenia czyli ordery, wieszają się po lewej stronie torsu „laureata”, zaś różne resortowe medale i odznaki — po prawej.

Kiedy obaj mocno utrudzeni dostojnicy dotarli wreszcie z obu stron sali do siebie, to okazało się, że połowa udekorowanych — ta ministra — ma na piersiach medale zawieszone prawidłowo, czyli po prawej stronie, a ta druga — komendanta — po lewej. Zapanowała duża konsternacja, lecz naczelny „ochotniczy strażak” nie stracił rezonu, wydając głośnie komendę: „Rozejść się, wychodzimy!”.

Uczyniłem tak i ja, tym chętniej, iż nie musiałem już tłumić w sobie wesołości z faktu, że znaczna część udekorowanych nie była nadal świadoma, czemu zawdzięcza to całe „zamieszanie”.

* * * *

Obsługując — nadal jeszcze w ramach redakcyjnego praktykowania — różne konferencje i narady w krajowej Centrali „Społem”, urastałem powoli do miana medialnego specjalisty „od handlu”.

Poznanie tamtejszego prezesa oraz jego uczynnej rzeczniczki prasowej, pomogło żurnaliście pozyskiwać branżowe wiadomości „z pierwszej ręki”. Nie dziwota więc, że kiedy państwowa telewizja chciała nagrać w studio ekonomicznym „społecznie uzasadniony” program o kłopotach zaopatrzeniowych rynku i szansach jego poprawy, zaproszono m.in. prezesa „Społem”, a także kilku dziennikarzy, w tym mnie.

Mieliśmy być w TVP na Woronicza o 8 rano, chociaż rejestrację telewizyjnej dyskusji przewidziano godzinę później. Dość znaczne przyspieszenie naszej obecności wzięło się z potrzeby dokonania starannej kosmetyki twarzy „delikwentów”.

Słowem, pudrowania oraz nacierania jej jakimś mazidłem, aby nasze policzki, czoła i nosy nie pociły się z wrażenia i gorąca oraz nie „świeciły” nadmiernie. Niektórym — w tym prezesowi — ubarwiono nawet usta szminką, że niby zbyt blado wypadają „na wizji”. Wreszcie usiedliśmy przy studyjnym „okrągłym stoliku” i kamery poszły w ruch.

Zaraz po nagraniu, szef „Społem”, zamiast pójść zmyć makijaż spojrzął na zegarek i złapał się za głowę. Za moment uczyniłem podobny gest. Oto za kilka minut zacznie się posiedzenie sejmowej komisji handlu, w którym obaj powinniśmy wziąć udział, aczkolwiek w innym charakterze. Z wielką ulgą przyjąłem więc zgodę prezesa na „zabranie” się jego służbowym autem do gmachu na Wiejskiej.

Pośpieszna jazda i jesteśmy tuż przed nakazanym czasem, ale ponieważ spółemowski kierowca nie miał pozwolenia wjazdu na teren Sejmu, musieliśmy wysiąść w pobliżu. Akurat przechodzili ulicą jacyś warszawscy emeryci i słysząc ich komentarz: „Popatrz Leon, idą dwie cioty. Tylko który z nich, to baba?”. Pada odpowiedź: „No, chyba ten ze szminką”.

Dopiero wówczas dotarło do naszej świadomości jak wyglądamy. Chusteczki pomogły zerwać część malunków, lecz strażnicy marszałkowscy przy wejściu i tak popatrzyli na nas obu

dość wymownie. Zaraz też biegiem do sejmowej łazienki, gdzie udało się odzyskać męski wizerunek.

Przyrzekłem sobie wówczas, że już nigdy — w razie ponownego goszczenia w telewizji — nie pozwolę, aby zrobiono mi jakikolwiek makijaż. Jednak kolejnego zaproszenia, jak dotąd, nie dostałem.

* * * *

Zdecydowanie, wszystkie ważne służbowe imprezy oraz podróże — obsługiwane przez PAP — były zawsze ustalane dziennikarsko wcześniej, jak chociażby mój wylot z premierem Mieczysławem Rakowskim, do Jugosławii wtedy jeszcze, bo do tamtejszych przemian pozostało trochę czasu.

Odlatujemy rano, obok mnie siedzi w Tupolewie urodziwa Ola Jakubowska z TVP, dostajemy pokładowe śniadanie i po ponad dwóch godzinach jesteśmy na miejscu.

Lotnisko mają dość odległe od samego Belgradu, stąd narastające u mnie uczucie bojaźni, gdyż nasz papowski korespondent w tym kraju dał mi od razu do zrozumienia, że traktuje obecność warszawskiego „wrzutka” jako afront zawodowy i w ogóle, abym sobie radził sam, bo on zdrowotnie zaniemógł.

Zaproponowałem koledze — tak jak u Haszka lekarze Szwejkowi — lewatywę, a sam sobie stoicki spokój. Pomogło.

Zaczął się wszak od „ceregeli” ze złożeniem polskiego wieńca na grobie marszałka Josefa Broz Tito. Musiał być w kształcie „łzy”. Mauzoleum bohatera Bałkanów okalał pilnie strzeżony park na wzgórzu, większy chyba od Łazienek. Grupa zaproszonych dziennikarzy przeszła wnikliwą kontrolę na bramie, a potem nastąpił nasz bardzo długi marsz alejkami.

Po drodze widzimy dość duże pawilony z drewna, trochę w naszym góralskim stylu. Przy piątym już chyba, pada dziennikarskie pytanie: Czy to w nim jest pochowany Tito? „Ależ skąd” — odpowiada przewodnik. Wyjaśnia, że marszałek miał liczne hobby, stąd jego prywatne parkowe „pracownie”, m.in. myśliwska, szewska, krawiecka, fotograficzna, kulinarna, plastyczna, rusznikarska i nawet taka „od odznaczeń”.

Na trawnikach parku widać niby kamienne, w stylu antycznym posąжки nagich chłopców i dziewczynek. „Bo kochał dzieci” — tłumaczy nasz opiekun. Między drzewami ukryte kamery

i głośniki, jak zejdziesz z alejki, to zaraz gromkie upomnienie. Nareszcie dotarliśmy do marmurowego obiektu. Premier dojechał tam limuzyną, złożył „łzę-wieniec”, a nam potem nakazano wynieść się w ciszy pełnej zadumy.

Obok wspomnianej ceremonii i zaplanowanych rozmów na „mocno wysokim szczeblu”, przewidziana była konferencja prasowa premiera Rakowskiego. Zainteresowanie mediów zaiste ogromne, gdyż oto w Polsce gorące polityczne wrzenie, kampania wyborcza do parlamentu z „szeryfem” na plakacie, no i w ogóle niepewność losu „socjalistycznego obozu”.

W dużej sali ustawione kamery tv i mikrofony, głównie zachodnich stacji. Ciżba totalna. Naraz słyszę, że ktoś woła głośno, abym wyszedł na korytarz. Mam się natychmiast zameldować u premiera. Ten poleca: „Zada pan jako pierwszy, trzy pytania ogólnej, gospodarczej natury”. Jak ja się przebiję w tym tłoku — staram się zaasekurować. „Proszę się o to nie martwić” — zapewnia.

I rzeczywiście. Mimo, że stałem na końcu zatłoczonej sali, prowadzący spotkanie z mediami zauważył najpierw moją rękę w górze, oczywiście pozwalając zapytać. Rakowski był uprzejmy odpowiedzieć bardzo obszernie, stąd po godzinie ową konferencję zakończono, tłumacząc to napiętym programem wizyty premiera. Wówczas większość zagranicznych żurnalistów zwróciła głowy w moją stronę, wytykając głośno, że takie pytania mogą sobie zadawać premierowi u siebie, w Polsce. Niewątpliwie mieli rację.

Trudno już dziś przesądzić, czy Rakowski sam zaplanował owe taktyczne „ustawienie”, czy też uległ „potrzebie chwili”. Dla mnie jednak pozostał w pamięci jako bardzo inteligentny człowiek, polityk oraz dziennikarz, władający swobodnie językiem angielskim.

A także, jako osoba zdająca sobie raczej dobrze sprawę z tego, jak w istocie u nas jest, a jak być powinno.

Zachodnich stron smak

Upłynęło nieco wody w Wiśle, kiedy dotarła do mnie wieść, iż razem z kolegami z telewizji będę towarzyszył "swojemu" kolejnemu już - co do obsługi medialnej PAP - ministrowi łączności. Jego nazwisko nie ma tu znaczenia.

Służbowa podróż notabla wiodła do pięknego Madrytu oraz zabytkowego Toledo. Polecieliśmy zaliczając przesiadkę w Londynie, bo lotnisko we Frankfurcie nad Menem było podobno

zagrożone zamachem bombowym, co w drugiej połowie lat 80-tych stanowiło jeszcze, na szczęście, zjawisko rzadko spotykane.

Dotarcie do stolicy Hiszpanii pasażerskim Airbusem przebiegło OK, rozglądamy się ciekawie po nowoczesnym porcie, tłumacząc jednocześnie indagującemu żurnalistów facetowi, że nikt z nas nie jest „senior minister”. On sam bowiem, notabene bojący się bardzo latać, nie wysiadł jeszcze z samolotu. Ale wreszcie jest na dostawionych lotniczych schodkach, wsiadamy więc do czekających na nas służbowych aut, zapoznając wkrótce okazały gmach hiszpańskiego ministerstwa.

A w nim pytają: W jakim języku chce prowadzić rozmowy szef polskiej delegacji? Jego dyrektor gabinetu wprawia gospodarzy w sporą konsternację, mówiąc: "Po francusku, bo pan minister rozumie po francusku, chociaż nie mówi po francusku". Negocjować miano możliwości rozwoju produkcji cyfrowych central telefonicznych hiszpańskiej firmy Alcatel, na terenie naszego kraju.

Na szczęście kłopoty lingwistyczne okazały się być do przewyciężenia i umowę podpisano. Pomogła w tym, zadomowiona już wtedy od ponad roku na tamtejszym rynku, ekipa przedstawicieli warszawskiej firmy Elektrim. Kompetentna, sprawna i władająca kilkoma językami.

Jednak równie istotny dylemat, co na początku pobytu, pojawił się też podczas naszego ministerialnego ustalania menu pożegnalnej, "rewanżowej" kolacji dla Hiszpanów, dzień przed ich ugoszczeniem.

Oto bowiem szef restauracji w hotelu kwaterującym warszawskiego ministra, pyta, co ma podać "w polskim stylu" na stół. Padają różne propozycje doradców dostojnika: "A może tak schabowy z kapustą, myśliwski bigos, albo flaki". Boss tamtejszych kucharzy załamywał ręce ze strachu, był już bliski omdlenia, lecz jego sprzymierzeńcem okazało się duże niezdecydowanie naszej ministerialnej ekipy.

Przesądzono wreszcie po społu: „A co my się mamy trudzić jadłospisem, przecież oni są u siebie i pewnie coś wcześniej zjedzą. Wystarczy śledzik z cebulką, żeberka z rusztu oraz nieco staropolskiej żubrówki”. Będzie „tout va bien”.

Muszę przyznać, iż ów zestaw — wzbogacony dyskretnie przez szefa kuchni — przypadł zaproszonym bardzo, ale to nawet za bardzo, do gustu. Można było odnieść wrażenie, że to nie Madziarzy, a Hiszpanie są naszymi „bratankami”.

Mimo wszystko, grupa żurnalistów czuła się nazajutrz nadal nieco zde gustowana całą otoczką służbowego pobytu, bo tego odczucia nie było w stanie rozwiać nawet nasze wieczorne uczestnictwo w „toastach”. Nastrój na finiszu pobytu uległ poprawie dopiero po zwiedzeniu

stadionu słynnego Realu Madryt, jak też stołecznej areny walki byków, fartownie dla nas — wtedy pustej.

Po przylocie do kraju pożegnały dziennikarzy kordialne, wręcz „z francuska” brzmiące słowa ekipy ministra: „Do zobaczenia następnym razem”. Zbyt optymistyczne — jak się okazało — gdyż wkrótce nastąpiła w tym resorcie zasadnicza zmiana kierownictwa.

* * *

Minęło nieco czasu, gdy wzbogaciłem moją agencyjną tematykę o dość atrakcyjną służbowo „działkę” transportu, zwłaszcza lotniczego.

Akurat LOT zastanawiał się nad zakupem samolotów pasażerskich dalekiego zasięgu, dywagując — Airbus czy Boeing? Od początku byłem za maszynami z Seattle, ale to Tuluza jako pierwsza zaprosiła dziennikarzy z Polski do swoich zakładów. Musiałem obyc się smakiem.

Wkrótce jednak także amerykański avio-producent, wraz ze współpracującym koncernem General Electric, zapragnął w 1990 roku gościć polskich żurnalistów i tu już było miejsce także dla mnie.

Zaczęliśmy od Nowego Jorku, zaiste ogromnej światowej metropolii, ze swoimi budynkami sięgającymi nieba, bajecznie kolorowymi reklamami, ze swoją mieszaniną ludzi wszystkich ras, poglądów oraz wyznań, a także.. ciepłym piwem, podanym nam w jednym z ulicznych bistro w... plastikowych kubkach.

Potem, po mało wygodnej podróży leciwym samolotem typu DC-10, wzbogaconej jednak miłym towarzystwem emerytowanych nowojorskich krytyków sztuki, udających się wypoczynkowo na Hawaje, dotarliśmy do Cincinnati w stanie Ohio, gdzie wytwarzane są silniki do Boeingów. Pokazano nam pełny proces produkcji ogromnych, nowoczesnych turbin lotniczych GE i zakładowe laboratorium do badań technicznych, następnie - już dla relaksu raczej - znany z telewizji kompleks kortów tenisowych oraz tamtejszy stadion enigmatycznego dla nas futbolu amerykańskiego. Zaproszono też na obiad do restauracji nad rzeką... Ohio, noszącej nazwę... „Kubicki”.

Dopytywałem tam, czy aby właścicielem lokalu nie jest ktoś z rodziny znanego gastronomika znad gdańskiej Motławy. Bossa akurat jednak nie było, a zastępujący go mężczyzna nic nie wiedział na ten temat. Pewne analogie co do wnętrza tej polskiej restauracji, rzucały się wszak w oczy. Stoliki i krzesła były umocowane „na sztormowo” do podłogi, a w karcie dań widniał m.in. bigos oraz naleśniki z serem. Wątpliwości mocno tedy ziałały.

Pora jednak rzybyć do lotniczego miasta — Seattle, gdzie również wrażeń technicznych i krajobrazowych, cała moc. Ogromne hale, olbrzymie samoloty w budowie, bardzo liczni pracownicy poruszający się wewnątrz obiektów na rowerach i wózkach „golfowych”, duża sprawność oraz tempo pracy. Mnóstwo czekających na odbiór maszyn, a obok „lotniczego parkingu” estakada, po której nowe samoloty dotaczano nad autostradą na fabryczny pas startowy.

A samo miasto ze swoimi drapaczami chmur i znaną wieżą telewizyjną owszem duże, chociaż mieszkający tam Polak powiedział mi, że można je obejść w „trzy godziny”.

Czekało nas uroczyste poświęcenie nowego B-767 „Warszawa” dla LOT-u, ale również nieoczekiwane miłe zaskoczenie. Wycieczka statkiem na małą wyspę na Pacyfiku, gdzie — paradoksalnie — urządzony został w celach raczej turystyczno-biznesowych, indiański skansen szczepu Czarne Stopy oraz mini-market, pełen pamiątek z „Dzikiego Zachodu”.

Wyłynęliśmy rano jednostką, którą określa się u nas mianem „beczki śmiechu”. Pyk, pyk, pyk, przy dobrej letniej pogodzie. Aż się prosiło wyjść na pokład z kajuty, bo tylko część ławek na dziobie statku była zajęta. Do tych przednich wolnych miejsc nikt jednak nie podchodził.

Okazało się, że są zarezerwowane dla aktualnego wodza plemienia Dakotów, czyli Siuksów z Wielkiej Równiny, który wspólnie ze swoją żoną płynął akurat teraz w odwiedziny do czerwonoskórych współbraci.

Oto po pewnym czasie Jego orszak wyłania się z obszernej salonowej kabiny, otaczając z szacunkiem starszego mężczyznę w barwnym pióropuszu i dostojnej twarzy. Siadają wszyscy na pokładowych ławkach, lecz miejsca z obu stron wodza pozostały puste.

Coś mnie skusiło aby podejść, przedstawić się i czekać na reakcję głównego Siuksa. Wskazał, abym usiadł, chwilę lustrował mnie czujnym okiem, no i zaczęliśmy rozmawiać. Początkowo powolnym tokiem, dopiero po mojej górnolotnej deklaracji, iż: „Cała Polska jest zaniepokojona losem Indian” — już znacznie cieplej. Dodatkowo też, kiedy dotarło do przywódcy Dakotów, usytuowanie geograficzne naszego kraju.

Niebawem jednak nasz statek dobił bezpiecznie do nabrzeża wyspy, więc wychodzimy oddzielnymi grupami, witani na lądzie kubkiem rosołu z małży i chrypliwym śpiewem Czarnych Stóp.

Za niedługą však chwilę mój kolega mówi: „Popatrz, twój wódz zaczął właśnie palić fajkę pokoju z tamtejszymi i kiwa, abyś podszedł”. Nawet z odległości dobrych kilku metrów widać było, że ustnik rytualnej fajki jest już mocno obśliniony.

Zdezerterowałem, klucząc bojaźliwie, acz wytrwale po lokalnych ścieżkach, zaś podczas galowego koncertu Indian, polegającego na tańcach „z bizonem i wilkami” — skutecznie kryjąc się za mocnym światłem reflektora.

Ponieważ przyszło nam, na szczęście, wracać do Seattle wcześniejszą od Dakotów turą rejsu, mój „skalp” pozostał na swoim miejscu. Mimo wszystko mogę chyba uważać, że owo osobliwe spotkanie z indiańskim VIP-em, zostało „skonsumowane”.

* * * *

Po dwóch latach odwiedziłem ponownie USA, będąc tym razem w urokliwym Chicago, pełnym naszych rodaków i widocznych niemal na każdym kroku polskich akcentów oraz znowu w grodzie Boeinga — Seattle. Tam także mogłem poczuć się już jak „u siebie w domu”.

Zgodzie władz LOT-u na mój udział w odbiorze innego nowego samolotu pasażerskiego, tym razem typu B-757, towarzyszyła interesowna — przyznaję — strategia autora. Prezes firmy mówi do mnie: „Przecież pan już tam był, to może teraz ktoś inny”. A ja na to: Owszem byłem, drogi panie prezesie, ale wówczas tak przejęty pobytem i „zainfekowany”, że nic nie pamiętam. Lotowski decydent, który dawno przestał być „harcerzem”, uznał mój argument za „nie do odrzucenia” i zaakceptował udział.

Kwaterując nad Pacyfikiem dzwonię do Polaka, poznanego tam jeszcze za pierwszym razem. To bardzo zdolny inżynier z innej niż lotnicza, branży. Zaproponował, aby pojechać jego nowym volvo do miejscowego Harlemu, gdzie tydzień wcześniej — podobnie jak w kilku innych amerykańskich metropoliach — doszło do rozruchów na tle rasowym.

„Ale u nas przebiegały one lepiej, bo żadnych zniszczeń nie było w City, za to Murzyni spalili u siebie duże kino i dyskotekę” — ironizował znajomy. Na wszelki wypadek przejeżdżaliśmy jednak przez „czarne osiedle” dość szybko, ja cokolwiek z przysłowiową duszą na ramieniu. Na pożegnanie ów inżynier poprosił, abym w Warszawie pozdrowił od Niego piosenkarza Andrzeja Rosiewicza, który gościł miesiąc wcześniej w lotniczym mieście, koncertując dla Polonii. Prośbę niedługo po powrocie udało mi się spełnić.

Z fabrycznego pasa startowego ruszamy w drogę powrotną. To pierwsze wzbicie się w powietrze nowej maszyny. Trema więc niezła, acz obecni na pokładzie dwaj amerykańscy fachowcy prezentują na twarzach pełny luz.

Ponieważ Boeing 757 jest samolotem średniego zasięgu, dlatego cały ten przelot — od Pacyfiku, potem nad Atlantykiem i do Europy — wymaga uzupełnienia paliwa. Wypadła owa czynność w niezwykle ciekawym miejscu, za Zatoką Hudsona, na Labradorze, w Nowej Fundlandii. Konkretnie zaś — w kanadyjskiej bazie wojskowej Gus Bay.

Amerykanie oraz lotowska załoga, mieli stosowne zezwolenie, aby po wylądowaniu zejść na płytę lotniska. My, żurnaliści z Polski — już nie. Pytamy, ile potrwa „nakarmienie” i przegląd Boeinga. „Jakieś dwie godziny” — wyjaśnia nasz pilot. A tu aż się prosi rozprostować nogi. „Mogą strzelać, nie radzę” — dodaje ktoś życzliwy z polskiej załogi. Jeden z dziennikarzy postanowił jednak zaryzykować. Zszedł po dostawionych schodkach i... prawie przycupnął na dole z emocji. Tymczasem... nic się nie dzieje, cisza i zimny wiatr.

Po chwili na pasie wojskowego lotniska, z widocznymi na nim w oddali myśliwcami F-14 czy F-15, ukazało się też kilkanaście naszych sylwetek. Owszem, pojawił się po pół godzinie jakiś starszawy wiekiem i rangą kanadyjski oficer, ale aby popatrzeć, pozdrowić nas i wyznać, że lubi Polaków, zwłaszcza odkąd pokonali w hokeja „sborną” ZSRR.

Z pełnym bakiem samolotu i zrelaksowanymi w nim ludźmi rozpoczęliśmy drugi etap „lotu dostawczego” — wiodący do Sztokholmu. Jest tam stacja serwisowa Boeinga, a my wieźliśmy dla niej przy okazji różne zapasowe części oraz elementy wyposażenia.

Rozładunek w Skandynawii musiał oczywiście dłużej potrwać, dlatego nie czekając, odesłano nas rejsowym samolotem LOT-u do Warszawy.

Żona była na Okęciu i przywitała — pół żartem, pół serio — słowami: „Mówiłeś, że lecisz do USA, a widzę, iż byłeś w Szwecji”. Ręce mi opadły...

* * * *

Za watykańskiej już posługi papieża-Polaka, przy okazji wyjazdu z grupą naszych kombatanów do Monte Cassino, byłem gościem rzymskiego korespondenta PAP, w osobie mojego byłego szefa, wspomnianego już wcześniej serdecznego krajana z „Galicji”.

Przywiozłem stertę warszawskich gazet i czasopism, zobaczyłem naszą zagraniczną placówkę, usłyszałem wiele ciekawostek o „kuchni” agencyjnej pracy w Wiecznym Mieście.

Najważniejszym punktem dodatkowego pobytu była jednak służbowa „pielgrzymka” do Watykanu, gdzie wspólnie z „zadomowionym” już papowskim korespondentem mogłem obejrzeć gabinet Jana Pawła II, salę konklawe, bibliotekę, a również słynny Ogród, w którym odpoczywało akurat duże grono purpuratów przybyłych na jakieś ważne konsultacje. Paru z nich kolega już znał, mnie pozostało tylko uprzejmie się skłaniać.

Przed powrotem do kraju, może za własną niedoskonałość, przyszło mi odczuć na sobie bez troskę zmotoryzowanych Włochów na rzymskiej ulicy Via Flaminia. Jechali swoim autem

tuż za naszym służbowym fiatem uno nie patrząc, że światła sygnalizacji ulicznej już mrugają. Kolega stanął i Włosi też, ale oni niemal na moich plecach, gdyż siedziałem z tyłu.

Zderzak zgnieciony, światła stopu zbite, lakier porysowany. Przejeżdżała akurat tamtejsza „drogówka”. Policjanci orzekli po swoim: „Oj straniei, straniei, trzeba było przejechać na +żółty+, a tak, jedynie kłopotu młodzieńcom narobiłeś”.

Jakoś udało się papowskiemu „winowajcy” dojść do prawdy z Włochami, uzyskać należną satysfakcję, a auto naprawić podczas najbliższego urlopu w Polsce.

Za to mój kontuzjowany wówczas kręgosłup daje o sobie znać do tej pory.

* * * *

Po dziennikarsko usprawiedliwionym dotarciu samolotem do Wiednia, razem z grupką przedstawicieli LOT-u, rzucił mi się w oczy na ulicy intrygujący swoją treścią afisz, zapraszający do centrum miasta na wystawę prac artystycznych „utalentowanej i ekscentrycznej Polki” — Celiney Podleśny, pseudonim „Arka”.

Myślę sobie, trochę czasu wygospodarowałem, pójdę więc „zrobić frekwencję”. A tam był już spory tłok, wytworzony przez zaprzyjaźnionych mocno z Twórczynią, wiedeńskich miłośników sztuki.

Dobłą chwilę szukam wzrokiem Autorki wystawy, tej „ekscentrycznej”, jak Ją zareklamowano. Tymczasem dostrzegam gustownie ubraną i o miłym wyrazie twarzy Osobę, rozdającą łagodny uśmiech i własny folder z autografem. Podeszedłem również, prosząc jednocześnie o chwilę rozmowy z żurnalistą-rodakiem, dla papowskiego serwisu — Kultura. Po krótkim czasie jest taka możliwość.

Piszą o Pani w recenzji: „Poetka, malarka i projektantka wielce osobliwej mody, mieszkająca od 12 lat nad Dunajem. Podkreślają ogromną wrażliwość i delikatność tchnącą zwłaszcza z tomików poezji, wręcz nie na dzisiejszy świat. Czym to wytłumaczyć?

„Odpowiem najpierw fragmentem mego wiersza: +Wyciszam się, by słyszeć życie. Wyciszam się, by pojąć jego subtelność. Chylę czoło przed szczerym życia pojmowaniem (...)+.

Wracając jednak do pana pytania, do prozy naszej egzystencji. Oczywiście, że mam świadomość wszechobecnej komercji, zjawisk patologii, upadku wartości. A jednak inspiruje mnie niemal każde miejsce na Ziemi, kocham wszystkich oraz wszystko, zwłaszcza żywą naturę. Inna już prawdopodobnie nie będę”.

Przybrała Pani niedawno pseudonim artystyczny „Arka”. Skąd taki wybór?

„Bo chcę i jestem +przymierzem+. Pragnę wszystkich godzić, dać każdemu cząstkę siebie. Cała moja twórczość to próba bardzo osobistego, prawie intymnego przekazu dla ludzi. Wplątałam go, mniej czy bardziej udanie, w strofy wierszy, jak również w moje ulubione malarstwo symboliczne, bo tylko ono zawiera myśl skłaniającą do zastanowienia. Celowo też nigdy nie sprzedaję moich prac”.

Jakie przesłanie wynika natomiast z Pani projektów mody?

„Jest to z premedytacją +sztuka dla sztuki+. Postanowiłam, ku uciesze ludzkich serc, stworzyć prywatne muzeum z ponad 100 kreacjami mody. Są to ubiory, a raczej kostiumy bardziej teatralne niż użytkowe. Barwne, niemal karnawałowe. Przeznaczone dla pań i młodzieży. Owszem — osobliwe, bo nigdzie na świecie nie ma identycznego egzemplarza. Wzięły się z mojej jaźni, są wytworem zapewne szokującym i może ekstrawaganckim, ale nie obraźliwym” — wyjaśnia na pożegnanie Celina Podleśny „Arka”, oddalając się w stronę oczekującej na wywiad ekipy austriackiej telewizji.

Wobec faktu, że towarzysząc naszej delegacji byłem zaabsorbowany w Wiedniu sprawami pospolitej raczej natury, a konkretnie rozwojem lotniczej komunikacji pasażerskiej pomiędzy stolicami obu krajów, owo opisane „nadprogramowe” zdarzenie tym mocniej we mnie utkwiło.

Nie kryję, że bardzo mi „Arka” zaimponowała, dlatego naszą krótką przecież znajomość uważam za nieoczekiwany dar losu. Niewątpliwie mało zasłużony.

O tym i o owym...

Zapoczątkowane opisanym już ”incydentem” w ambasadzie węgierskiej, przychodzenie rano do pracy w PAP przed wyznaczoną porą, stało się moją raczej mało korzystną cechą.

Wpłynęło też na to, iż — subiektywnie rzecz ujmując — nie przepadam za nazwiskiem „Balcerowicz”. Zarówno z racji mojej papowskiej z Nim udręki, jak też... wielorybiej witaminy. Chętnie wyjaśnię.

Znając swoje dzienne służbowe „kalendarium”, zazwyczaj planowałem też sobie różne prywatne czynności, np. obiecałem kiedyś mojej żonie wieczorne pójście do kina. Tymczasem niespodziewanie, agencyjne „licho” umieściło mnie tego dnia i o tej porze... w odległym mocno od Warszawy, Tallinie. Na międzynarodowym sympozjum ekonomicznym.

W tym datowanym na rok 1989 przypadku, z ówczesnym wicepremierem Leszkiem Balcerowiczem, w efekcie redakcyjnej „łapanki” tych, co „rankiem przychodzą”.

Jednak z owej długiej eskapady leciwym samolotem Jak-40, pamiętam głównie estońską kolację. Pierwszy tego dnia mój ciepły posiłek — w postaci udka kurczaka z frytkami — ale tak mocno pachnący... tranem, że to kulinarne wspomnienie często dręczy mnie nadal w porze posiłków.

Z tym czołowym ekonomistą i wtedy politykiem, miałem wkrótce potem kolejne, tym razem warszawskie spotkanie. Kiedy zażyczył sobie pilnego wyjaśnienia — via PAP — jakiejś istotnej kwestii gospodarczej.

Przybyłem z nowym magnetofonem, płynęły ważne słowa, taśma była w ruchu nagrywania. Po niemal pół godzinie profesor skończył, a wtedy — dla upewnienia się — cofnąłem nieco szpulę i... zamarłem. Nic się nie nagrało. Wicepremier był wściekły, redaktor zdruzgotany. Z konieczności czasowej powtórzył Balcerowicz swoje racje w formie syntezy, a ja brałem treść „na ołówek”, jak to się mówi w agencyjnym slangu.

Chyba z wielkim trudem udało się potem odbiorcom odnaleźć sedno mojego zanotowania. Jeśli w ogóle. Poznałem za to szybko treść prośby, jaką przekazał PAP mój ważny Rozmówca: „Nie przysyłajcie już więcej do mnie tego pechowca”.

* * * *

Narzekamy od czasu do czasu na naszych szefów, w tym tych z „najwyższej półki”. Jesteśmy niemal kategorycznie przekonani, że różni ważni prezesi, dyrektorzy lub przewodniczący — w przeciwieństwie do bliskich swoją obecnością panów kierowników czy naczelników — nie znają „z twarzy” własnych pracowników. Mają blade pojęcie o ich zawodowych umiejętnościach, co przekłada się na mniejszą troskę prominenta w kwestii ludzkich awansów albo gratyfikacji.

Po części sam wyznawałem tę teorię, tym bardziej, iż podczas mojej papowskiej służby pracowało w warszawskiej centrali dobrze ponad 200 dziennikarzy, nie licząc administracji i obsługi technicznej.

Muszę ze skrupułą przyznać, że w swoim widzeniu tej kwestii myliłem się. I to nawet bardzo.

W zimny, marcowy dzień 1991 roku, wyruszając rankiem wraz z przedstawicielami kilku redakcji do Szwecji, na wystawę nowoczesnego sprzętu pocztowego, utknęliśmy na lotnisku w Kopenhadze, czekając na opóźniającą się ze względu na dużą mgłę, przesiadkę na samolot do Goteborga.

Linie SAS zafundowały pasażerom bony obiadowe do lotniskowej restauracji, która serwowała m.in. śledzia w polewie czekoladowej. Brr... Dlatego wypiszy kawe, wolałem wybrać się na spacer długimi korytarzami dworca, skracający oczekiwanie.

Idę rozmyślając nad sytuacją, gdy nagle czyjaś ręka dotyka mej dziennikarskiej czupryny. Patrzę, a to Pan Janusz Roszkowski, były prezes Polskiej Agencji Prasowej PAP, a wówczas już... Jego Ekscelencja Ambasador Polski w Królestwie Danii.

„Gdzie się pan wybiera, redaktorze. Co w naszej firmie słychać?” — pyta. Byłem tak zaskoczony, iż z trudem wydukałem kilka zdań. Uśmiechnął się i powiedział: „To do zobaczenia, lecę teraz do Warszawy na parę dni”.

Dotarło do mnie, że chociaż co nieco lat był moim papowskim szefem, nigdy nie spotkaliśmy się tak bezpośrednio. Dopiero tutaj, w Kopenhadze, i... w dodatku rozpoznał.

Dostałem dobrą lekcję pokory, czując też jednak sporo osobistej satysfakcji.

* * * *

Mam udać się z ministrem transportu — prof. Bogusławem Liberadzkim i fachowcami od kolejnictwa — do Zagrzebia. W trudnym, bez wątpienia niebezpiecznym okresie wojny Serbii z Chorwacją.

Fakt ten sprawiał, że cała wyprawa i jej późniejszy przebieg obarczone były dużą niewiadomą, wynikającą z sytuacji, jaka otaczała nasz punkt docelowy.

Na dodatek, jeszcze przed wieścią o mym udziale w podróży, przeczytałem papowską depeszę z zagranicy, że w okolicy miejscowości Karlovac, serbskie lotnictwo dokonało nocnego nalotu, powodując ofiary wśród ludzi oraz duże zniszczenia. Do głowy mi wtedy nie przyszło, że za niewiele dni będę przejeżdżał dość blisko tego miejsca.

Po czyjejs opinii, iż lepiej polecieć do Zagrzebia samolotem Lufthansy — via Frankfurt nad Menem — bo „Serbowie nie strzelają do Niemców”, tak właśnie zdecydowano.

Zarówno dość długa trasa, wiodąca z pasażerskiego lotniska w Pleso do oddalonego o 17 km Zagrzebia, jak też sama stolica Chorwacji — były pogrążone w ciemnościach. Wiozące nas auta miały specjalne „zaśleпки” na reflektorach, jechały powoli, można rzec — czujnie. W pewnej chwili przez przednią szybę dostrzegam fosforyzujący drogowskaz, a na nim informację: „Karlovac — skręt w prawo — 15 km”. Pomyślałem z obawą: „Tylko patrzeć jak Jugi ponowią ostrzał w tym rejonie”.

Docieramy jednak cało tuż przed północą do hotelu, podobnego stylem i historią do warszawskiego „Bristolu”. O dziwo, wewnątrz dość jasno, kawiarenka na parterze czeka na nas, dostajemy klucze do pokoi, ruszamy korytarzami. Aż tu naraz... „egipskie ciemności”.

Prawdopodobnie zagroził Zagrzebiu nocny nalot, stąd alarm skutkujący wyłączeniem prądu. Dopiero po dłuższej chwili, kiedy oczy nawykły do czerni, dostrzegłem na ścianie hotelowego korytarza fosforyzujące znaki ewakuacyjne — w którą stronę do wyjścia, na inne piętro, albo do schronu. Aby odnaleźć swój numer pokoju musiałem jednak użyć zapalniczki.

Wewnątrz nic nie widać, ani mebli, ani innych sprzętów. Okno zasłonięte „na trwałe” czarną tkaniną. Działam po omacku, byle się nie potknąć o cokolwiek. Podobne problemy mieli pozostali uczestnicy resortowej delegacji. Czuliśmy się co nieco nocnymi „jaskiniowcami”.

Rano konstatacja, że w hotelu — oprócz nas — mieszka jedynie kilkunastu młodych inwalidów wojennych. Byli albo bez nogi, albo bez ręki, paru miało też obandażowane mocno głowy. Wszyscy poruszali się na wózkach. Widok był przygnębiający, aczkolwiek dopiero na ulicach ogniskował się cały smutek i ujawniało duże zmęczenie ludzi. Widziałem płaczące kobiety, ale również ogrom determinacji na twarzach wielu starszych mężczyzn.

Niespodziewanie zaplanowano w naszym hotelu konferencję prasową ówczesnego premiera Chorwacji Nikicy Valentica, dla zagranicznych dziennikarzy. Chciałem skorzystać z okazji, jednak w ostatniej chwili spotkanie zostało odwołane. Była w zamian możliwość zobaczenia licznej grupy ochroniarzy dostojnika, uzbrojonych wyjątkowo hojnie w krótką broń różnego kalibru. Pozazdrościć takiemu, czy współczuć? Szybko jednak zająłem się dużo ważniejszymi sprawami.

Polska delegacja, podczas rzeczowych rozmów przeprowadzonych z chorwackim ministerstwem transportu, zadeklarowała chęć pomocy w przyszłej odbudowie tamtejszej infrastruktury, w tym przede wszystkim zniszczonych szlaków kolejowych.

Pobyt dobiegł końca. Zniknął przykry obraz wojny, zaś my — wręcz z nieukrywaną radością i ulgą — witaliśmy jeszcze z powietrza znajomy widok Okęcia.

* * * *

Z inną grupą ekspertów tego samego resortu, miałem pojechać koleją do Berlina, już wtedy bez odgradzającego miasto muru, pamiętnego z czasów „zimnej wojny”.

Wiadomość okazała się o tyle atrakcyjniejsza, że na środek naszego transportu wyznaczono unikatowy raczej oraz mocno „celebrycki” wagon. Dlaczego aż taki? Wyjaśnię za moment.

O istnieniu w PKP paru wysłużonych, lecz nadal sprawnych „salonek” — czyli swoistych VIP-ów wśród reszty taboru pasażerskiego — było mi wiadomo, chociaż nie widziałem ich wtedy jeszcze na oczy. Ciekawość zatem doskwierała mocno. Oby wybrali tę najbardziej historycznie „utytułowaną” — myślę sobie.

Zachcianka się spełniła, bo oto na peron stołecznego Dworca Centralnego podjechała w zestawie codziennego pociągu ekspresowego, ulubiona salonka Gomułki, a potem Gierka i Jaruzelskiego.

Jak na swój „przaśny” rodowód wyglądała owszem, owszem. Wygodne przedziały sypialne, kuchnia, kabina z prysznicem, eleganckie toalety, a przede wszystkim duży gabinet „na kołach”, z fotelami, stolikami, telefonem wtedy już chyba bezprzewodowym, ze sprzętem wideo oraz telewizją via satelita.

Najbardziej jednak utkwiała w mojej pamięci delikatna, cichuteńka praca salonkowych re-sorów. Nie pisały ani nie zgrzytały, wagon nie dudnił, zupełnie nim nie trzęsło. Nawet dzisiaj mogłaby owa salonka być silnym rywalem wygodnych wagonów Pendolino.

Okazało się, że jednym z tematów berlińskiego spotkania ekspertów kolejnictwa, obok zwiększenia wspólnych połączeń i ujednolicenia ich parametrów technicznych, była również prośba strony niemieckiej, dotycząca umożliwienia remontu ich salonek w polskich warsztatach naprawczych.

Chcieli przy okazji zobaczyć na własne oczy finalny efekt wieloletnich zabiegów „reanimacyjnych” nobilitowanego wielce, polskiego wagonu.

Myślę, że lepiej nie mogli trafić. Ja zresztą również.

Fajnie, ale nie zawsze...

Mój zawód — jak wiele innych — ma swoje dobre oraz złe strony. Bywa ciekawy, często nawet i mocno atrakcyjny, lecz potrafi niekiedy zamęczyć tempem pracy, jej nerwowością, mieć też w sobie gorzki smak tzw. sukcesu. Słowem — lubi rodzić stres, zaś w skrajnych sytuacjach skraca człowiekowi żywot.

„Wybraliście fach równie ryzykowny, jak saper” — mawiał do studentów jeden z moich sędziwych profesorów Uniwersytetu Warszawskiego. Ale cóż — siła wyższa, może moda, może przerost ambicji, albo wszystkiego po trochu. Skoro zaś już uzyska się dyplom, to bardzo niechętnie jest myśleć o nowej profesji. Zdarza się jednak, że trzeba.

Obsługując wraz z innymi papowcami wiele posiedzeń Sejmu, miałem szczególnie starannie pilnować tematyki „własnego” resortu. W tym przypadku, jeszcze łączności.

Były wcześniej długie i dość męczące obrady poselskiej komisji, były jakieś dodatkowe konsultacje, aż wreszcie projekt nowelizacji ustawy o łączności trafił bodajże w 1984 roku do „laski marszałkowskiej”, jak to wtedy określano.

Akurat wychodziłem już do domu, gdy z agencyjnego sekretariatu dano znać, że mam zrobić „depeszę” o tym projekcie, uwzględniając jego najistotniejsze szczegóły. Było tego 70, albo i 80 stron druku, a tu kiszki człowiekowi „marsza grają”. Zaryzykowałem więc szybką lekturę i równie ekspresowy tekst. Poszedł.

Następnego dnia wielka awantura od sejmowej kancelarii, że zamiast wyeksponować „wiekopomne” zmiany, to pan redaktor łaskawie zauważył i nagłośnił jakieś „duparele”, w tym proponowaną likwidację wiejskich oraz osiedlowych megafonów, zwanych „kołchoźnikami”.

Do linczu na mej osobie nie doszło, lecz przez kilka tygodni byłem w redakcji i na ulicy Wiejskiej „trędowatym”. Niemal pewnym kandydatem do wylania. Jakoś mi się w końcu upiekło, ale ile mnie to kosztowało zdrowia — strach mówić.

* * * *

Parę lat później podobnie trudny przypadek, tym razem w innej sytuacji. Do tzw. Sztabu Redakcji Krajowej PAP przysyłano często z bardzo różnych ważnych urzędów i instytucji, istotne informacje lub komunikaty, „pod embargo”. Do nadania „po telefonie” lub o określonej godzinie, niekiedy następnego dnia. Taki tekst „wisiał” w redakcyjnym komputerze i prowadzący serwis krajowy dziennikarz uruchamiał go według zalecenia.

Miałem kiedyś nocny dyżur i takową korespondencję w „e-poczekalni”, z dyspozycją na 7 rano. Chodziło w niej o ważną, wysokiej rangi „niezapowiedzianą gospodarczą wizytę kogoś tam, u załogi gdzieś tam”. W nocy zdarzały się skoki napięcia prądu, blokował system komputerowy, stąd moje postanowienie skopiowania wiadomości, aby mieć ją „na zapas”.

Niestety. Może z gapiostwa, a może z przemęczenia nacisnąłem nie ten guzik i tekst poleciał „w Polskę” znacznie przedwcześnie. Aż jęknąłem przerażony, nadając za moment pilne wycofanie depeszy. Nazajutrz jednak działa się, oj działa. „Krecia robota”, „Jawna dywersja, albo debilizm”, „Absolutny skandal” — to jedne z łagodniejszych określeń, które pod swoim adresem usłyszałem. Wszystkie one nosiły w sobie te same znamiona decyzji szefostwa — „na bruk”!

Pewnie tak by się stało, gdyby za dwa dni podobna „afera” nie przytrafiła się niespodziewanie memu wzburzonemu pryncypałowi z Redakcji Krajowej. „Jak to się mogło stać?” — pytał skonsternowany. Wykorzystałem skwapliwie ten moment mówiąc: „Mamy stary sprzęt, są awarie, zablokowane klawisze, wszystko więc możliwe”.

Przyjęto tę wersję i w miarę szybko dostaliśmy nowe komputery, a ja byłem znowu „swój”.

* * * *

Każdemu niemal żurnaliście trzeba liczyć się również — na szczęście bardzo rzadko — z koniecznością zobaczenia wstrząsających widoków, poznaniem olbrzymiego nieszczęścia. Takiego, przy którym wszelkie dziennikarskie wpadki oraz ich ewentualne przykre konsekwencje, są w istocie mało znaczącym problemem.

Niestety, nie był mi oszczędzony także ten najboleśniejszy przypadek.

W sobotnie przedpołudnie, 9 maja 1987 roku, wracałem samochodem do domu wraz z żoną, będąc już na terenie Ursynowa. Ulica prowadziła pod górę, w stronę widocznego z oddali Lasu Kabackiego. Dojeżdżamy do szczytu wzniesienia, gdy nagle nad leśnymi drzewami uniósł się ogromny ciemny obłok, przypominający następstwo wybuchu dużej bomby.

Pomyślałem najpierw, że to eksplodował magazyn amunicji w pobliskiej jednostce wojskowej. Szybko jednak przyszło mi na myśl inne skojarzenie. Przecież nad Kabatami wiedzie powietrzna droga „dolotu” na Okęcie...

Zostawiwszy żonę pod domem, ruszyłem możliwie najszybciej w stronę leśnego duktu. Na skraju lasu już pojawiły się grupy żołnierzy. Pokazuję papowską legitymację i zostawiwszy niebawem w zaroślach moją Skodę, gnam biegiem w kierunku wskazanym mi przez wracającego rowerem ze środka lasu, przerażonego mężczyznę. „Tam chyba spadł samolot” — wykrzyknął.

Po kilku minutach sprintu stało się dla mnie jasne, że nastąpiło najgorsze. Oczom ukazał się makabryczny widok. Niemał w środku lasu szeroki pas wycięty przez samolot. Na zachowanych po obu stronach drzewach, a także na utworzonej „polanie”, fragmenty ludzkich ciał nasyconych lotniczym paliwem i palących jasnym płomieniem. Osmolone obuwie, także dziecięce. Pełny dramat.

Masa metalowych elementów, liczne szczątki bagażu, zaś na samej końcówce „pasa” ocaleczony wrak maszyny, bez ogona, skrzydeł i bocznych ścian, zaledwie z resztkami kokpitu pilotów.

Pojawiły się dość szybko służby medyczne, przybyli helikopterem przedstawiciele LOT-u. Po kilkunastu minutach udało się też przebić przez las wozom strażackim. Jednak — ku rozpaczy ratowników, osób funkcyjnych i mojej też — nie było szans, aby ktokolwiek ze 183 obecnych na pokładzie przeżył katastrofę.

IL-62 M „Tadeusz Kościuszko”, lecący rejsową trasą: Warszawa — Nowy Jork, a niebawem zawracający po awarii na własne lotnisko, powiększył bolesną listę wypadków z udziałem samolotów pasażerskich.

W tym czasie nie było jeszcze ogólnie dostępnych telefonów komórkowych. Żona z domu dała jedynie znać do redakcji, że pojechałem sprawdzić, co się wydarzyło w Kabatach. Wcześniej natomiast telefon od rzecznika LOT-u zdążył już zorientować PAP o zaistniałej sytuacji. Ale czekano na tego, który jako pierwszy z dziennikarzy, już po kilkunastu minutach był na miejscu strasznego wypadku. Miałem opisać ten wstrząsający widok.

Po szaleńczej jeździe powrotnej do Agencji oraz pilnym zameldowaniu się u dyżurnego dziennikarza, byłem mocno wyczerpany i nadal niesłychanie przejęty. Dodatkowo, nie mogąc opanować nagłego drżenia rąk.

Obecny w firmie ówczesny szef Redakcji Krajowej, Pan redaktor Juliusz Solecki, sam usiadł więc przy moim komputerze, przenosząc na ekran i adiustując to, co gorączkowo relacjonowałem. Niebawem pilna papowska depesza o katastrofie lotniczej, została uzupełniona moim obszernym tekstem o koszmarze z Lasu Kabackiego i autentycznie poszła na cały świat.

Cóż jednak z tego, że spory fragment owej relacji, podpisanej moim imieniem i nazwiskiem, zobaczyć można do dzisiaj na internetowej stronie The Washington Post. W zaistniałej sytuacji był to wszak mocno wątpliwy dziennikarski „sukces”.

Uzyskany w efekcie opisu tragedii wielu ludzi. Dlatego, obym już więcej takiego „zaszczytu” nie doświadczył.

* * * *

Są również inne, przykre przypadki czyhające na media i ich „robotników”. Bywa, że ze smutnym zakończeniem. Taką właśnie historię chcę teraz przedstawić.

Poprzez nasze żony — koleżanki z pracy w kulturze fizycznej — zapoznałem w Warszawie redaktora Stefana Rzeszota. Ten doświadczony dziennikarz sportowy, sprawozdawca telewizyjny meczów piłkarskich oraz hokejowych o najwyższą reprezentacyjną i klubową stawkę, miał w swojej bogatej karierze jedną, lecz bardzo bolesną „wpadkę” zawodową.

Mianowicie, pomylił na telewizyjnym ekranie piłkarzy Bayernu Monachium z piłkarzami Dynama Kijów. Nie tylko z koloru koszulek, ale również z charakterystycznych sylwetek futbolistów. Zaiste, wręcz niemożliwe było wziąć np. filigranowego bramkarza Seppa Mayera, za potężnego posturą Jewgienija Rudakowa. Mimo tego, dopiero po kilku dobrych minutach Rzeszot zreflektował się „kto jest kto”.

Nie chciałem dręczyć Stefana pytaniem — dlaczego? Być może sam też nie był w stanie dociec przyczyn chwilowej „amnezji”, rzutującej potem na ogólne samopoczucie. Owo zdarzenie odcisnęło bowiem na Jego zawodowej dumie, a także na zdrowiu — wyraźne piętno. Tym bardziej, iż „rywalizował” wówczas z bardzo popularnym i lubianym w kraju redaktorem Janem Ciszewskim. Jednak paradoksalnie, owa wpadka zaowocowała za to większą... rozpoznawalnością dziennikarza, czego sam byłem świadkiem.

Jechaliśmy raz obaj autem do Krakowa i w okolicach Tunelu przyszła nam chęć zrobienia postoju na kawę. Trafił się mały bar z grubawym właścicielem, my w kącie pustawej salki i nagle słysząc: „Aleś pan dał popalić kiedyś z tym meczem, panie Rzeszot”. Przyszło wyjść szybko bez słowa i resztę podróży też odbyć raczej milcząco.

Po raz ostatni spotkałem Stefana pod koniec lutego 1987 roku, na rogu Alej Jerozolimskich i Kruczej. Wyglądał na bardzo już schorowanego. Niedługo potem zmarł. Niestety, nasz fach rzeczywiście potrafi być także bezlitosny.

No właśnie. Teraz czytam w Internecie o kontrowersyjnej podobno postawie Rzeszota w czasach Jego młodzieńczej aktywności społecznej. To dla mnie duża nowość. Znałem Go bowiem jedynie takim, jakim był współcześnie, podczas naszego koleżeńskiego obcowania. I takim już u mnie pozostanie.

Talent w parze z pasją

Odpocznijmy chwilę od towarzyszenia „małej i wielkiej polityce”. Od zmagania z ówczesną rzeczywistością mniej lub bardziej udolnych adeptów żurnalistyki, a także pozostałych aktorów opisywanych zdarzeń. Odpocznijmy, na rzecz ukazania ludzkiego daru życiowej pasji i jej smakowitych owoców.

Chcę zacząć ten spokojniejszy wątek od osobistego wyznania: „Podziwiam Panią Krystynę Czubówną”. Podziwiam za Jej aksamitny głos, za nieskazitelną dykcję i osobistą kulturę.

Ta niegdyś wyróżniająca się prezenterka „Panoramy”, z wykształcenia prawnik, cieszy teraz wielu widzów w kraju i zagranicą doskonałym wręcz „czytaniem” filmów dokumentalnych, przede wszystkim przyrodniczych. Nie miałem dziennikarskiej okazji spotkać Panią Krysztynę, aż tu okazuje się, że mieszka na osiedlu sąsiadującym z moim.

Starania zdobycia wywiadu z celebrytką nabrały więc bardziej realnego kształtu. I rzeczywiście. Wkrótce oto w jednej z miłych natolińskich kawiarenek mogliśmy porozmawiać o drodze zawodowej Pani redaktor, także o odrzuconej pokusie zmiany twórczego emploi, a i o Jej zainteresowaniach oraz hobby.

Przyznaję, że nie było to żadne redakcyjne „zlecenie”, jedynie moja własna dziennikarska inicjatywa. Spożytkowana jednakże później — po uzyskaniu zgody Rozmówczyni — w jednym z kolorowych czasopism. Potwierdzam też przy okazji, że „na żywo”, głos Pani Czubównej, jego tembr — brzmi równie wspaniale i ciepło.

Przy mocno aromatycznej kawie wsłuchuję się w początki zawodowej kariery dziennikarki. O dziwo, trochę zbliżonej do mojej życiowej drogi. Zaczyna się ona jednak nie w gdańskiej i krakowskiej, a w warszawskiej rozgłośni Polskiego Radia.

„Kierowałam się raczej ciekawością realiów pracy antenowej. Fachowi, serdeczni ludzie w tym środowisku, dopomogli mi nabrać mocnego przekonania o trafności wyboru. Obecnie, kiedy moja ciekawa przygoda z dziennikarstwem trwa już całe lata, jestem pewna, iż to nie był tylko przypadek, ale i powołanie”.

Z tamtego okresu zapamiętała znana lektorka zwłaszcza jedno z kilku zabawnych zdarzeń. Kiedyś jeden z kolegów miał niespodziewany problem z odczytaniem na antenie nazwiska panującego wówczas szacha Iranu. Okazało się, że jakimś cudem w tekście, obok godności władcy, widniały słowa: „Arcy-macher”.

Dziennikarz wiedział jak się szach nazywa, lecz stres i komizm tej sytuacji spowodowały, że wybrnął z kłopotów z wyraźnym opóźnieniem, na dodatek jękając się okrutnie, co radiowcowi nigdy nie przystoi.

Nadal ceni moja Rozmówczyni programy „live”, te radiowe, ale i telewizyjne. Miała zresztą niedawno propozycję prowadzenia na „szklanym ekranie” salonu mody, względnie teleturnieju — lecz ją odrzuciła. Bowiem filmowe „czytanie” stało się wręcz Jej osobistą pasją.

Przepraszając za własną „nieskromność”, Czubówna przyznaje, że ceni sobie bardzo liczne dowody popularności, nie tylko w Polsce. Wynikające zwłaszcza z udziału w serialach dokumentalnych. Jednak wybiera tylko te naprawdę wartościowe. Prywatnie zaś, chętnie poznaje obcą kulturę, przyrodę, a z wędrówek po kraju największą sympatią darzy... Gdańsk i Kraków.

Bardzo mi to przypomniało własną ścieżkę zawodowego życia oraz moje zainteresowania. Dlatego wypowiedziałem na koniec rozmowy jedynie dwa słowa: „Niezmiennie dziękuję”.

* * * *

Mam teraz istotne pytanie: Czy osobę, którą zagraniczni dziennikarze okrzyknęli „Pierwszą Damą Światowej Lekkoatletyki”, która dokonała niebywalej sztuki pobicia aż dziesięciu rekordów globu na biegowych dystansach i ma w swoim dorobku najcenniejsze medale z olimpiad, mistrzostw świata i Europy, zaś prywatnie jest pełną uroku, inteligentną kobietą — może zabraknąć na tych kartach? Absolutnie nie. Witamy Panią Irenę Szewińską.

Pamiętam z jakim przejęciem wracałam do siedziby krajowej centrali lekkiej atletyki, której przewodniczyła w 1997 roku słynna Sportsmenka. Działająca też zresztą aktywnie w Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim.

Wiedziałem wcześniej, że droga do olbrzymiej kariery Pani Ireny rozpoczęła się w latach 60-tych, na żużlowej bieżni warszawskiej „Polonii”, Jej macierzystego klubu. Nie miałem również wątpliwości, iż talentowi Szewińskiej sprostali — na szczęście — trenerzy.

„Owszem. Byliśmy jako reprezentacja jedną ze światowych potęg, bo polska lekkoatletyka miała w tym czasie wielu wspaniałych szkoleniowców i działaczy. Mogłam trenować pod okiem takich sław od biegów krótkich, jak m.in. Gerard Mach — olimpijczyk i ex rekordzista Polski, Andrzej Piotrowski i Edward Gugała.

Muszę jednak podkreślić, że to mój mąż, Janusz Szewiński — również dawny zawodnik Polonii — przekonał mnie do biegania 400 metrów. Dlatego złoty medal oraz rekord świata na montrealskiej Olimpiadzie, był również naszą wspólną, osobistą satysfakcją.”

Pytam, w czym była Mistrzyni, a wówczas prezes PZLA, upatruje możliwości powrotu narodowej ekipy do wyczynowej chwały minionych lat. „Przede wszystkim chcę zadbać o warunki organizacyjne oraz szkoleniowe, dające utalentowanej młodzieży szansę rywalizowania na europejskim i światowym poziomie. Jestem przekonana, że stać nas bić rekordy na bieżniach, skoczniach czy rzutniach.

Musimy tylko wspólnie dążyć do rzeczywiście masowego upowszechnienia +królowej sportu+, zarówno wśród nastolatków, jak i ogółu sympatyków czynnej rekreacji. Organizując na przykład amatorskie biegi przełajowe, konkursy skoków wzwyż, czy rzuty kulą. Efekty muszą nadejść” — zapewnia Rozmówczyni.

Dystans czasu, jaki dzieli ową wypowiedź od obecnej lekkoatletycznej rzeczywistości, pozwala — moim zdaniem — stwierdzić, że ambitne plany Wielkiej Damy Sportu, Ireny Szewińskiej, nie poszły na marne.

* * * *

Barwna, nietuzinkowa, bezpośrednia w kontakcie z innymi Postać — Stanisław „Stasiek” Wielanek. Samorodny talent do gry na akordeonie oraz śpiewania. Popularny bard starej Warszawy — tej romantycznej, z czasów konnych fiaków, Pelcowizny, mrocznych przedmieść i „szemranej ferajny”, ale też z okresu bohaterskich zrywów stolicy i jej dnia dzisiejszego.

Trochę się nabiedziłem chcąc koniecznie poznać bliżej tego Artystę. Okazało się, że częściej można Go spotkać w telewizji, w radiowym studio lub wśród Polonii, niż na warszawskim „świeżym powietrzu”. Jednak się w końcu udało i to o dziwo, właśnie w leśnym parku w Powsinie, gdzie wystąpił ze swoją kapelą. Ustaliliśmy termin rozmowy, a ponieważ został dotrzymany, mogłem włączyć magnetofon.

„Jestem warszawskim rodakiem z dziada-pradziada i babki-prababki, wychowanym na Czerniakowskiej, wśród muzycznej rynsztokracji, spod znaku klucza francuskiego i wytrycha basowego. Trudno było inaczej, skoro rodzice zdradzali talent muzyczno-wokalny, a w rodzinie prawie wszyscy grali na fortepianie... w karty. Będąc już natomiast w +stanie zabawowym+ — zawracali gitarę. Na serio jednak, tata bardzo dobrze pogrywał na akordeonie, tudzież na harmonijce ustnej, zaś oboje z mamą lubili i rzeczywiście ładnie śpiewali” — wzrusza się Pan Stanisław.

Dodaje też szybko z powagą: „W tym samym domu przy ulicy Czerniakowskiej, mieszkał od dziecka i wyszedł z niego do Powstania słynny poeta, Krzysztof Kamil Baczyński. Jestem z tego faktu niezwykle dumny”.

Zapytany, skąd się biorą w repertuarze Wielanka te stare, często zapomniane już utwory, wyjaśnił, iż są efektem osobistych poszukiwań. Ongiś na podwórkach, gdzie występowały liczne, anonimowe kapele warszawskie, a później na tak zwanych pchlich targach oraz w antykwariatach. Sam też pisze muzykę do „stylizowanych” tekstów, m.in. Jerzego Ficowskiego czy Zbigniewa Staweckiego. Najbardziej zaś ceni utwory o klimacie balladowym, sentymentalnym.

Muszę wyznać, iż „Stasiek” sprawił mi wielką radość, ofiarowując wydaną jeszcze w 1994 roku, własną książkę „Szlagiery starej Warszawy”, od początku mało dostępną. To bez wątpie-

nia prawdziwy bestseller, przeplatający unikatowymi tekstami andrusowskich piosenek, ciekawe opowieści z dawnych warszawskich czasów. Szczerze jestem wdzięczny Panu Wielankowi za ten dar. A także za spopularyzowanie nad Wisłą, starych lwowskich szlagierów.

* * * *

Doszła do mnie jesienią 1999 roku wieść, że w Pilźnie na Podkarpaciu mieszka osoba, która swoją artystyczną inspiracją i twórczym pomysłem wyprzedziła wybitnego reżysera Andrzeja Wajdę w wielce plastycznym upublicznieniu dzieła Adama Mickiewicza — „Pan Tadeusz”. Czy to możliwe?

Postanowiłem sprawdzić, a była ku temu dobra okazja, gdyż nadeszło właśnie na mój adres zaproszenie do Krosna, na obchody jubileuszu tamtejszego Aeroklubu, z którym byłem zaprzyjaźniony jeszcze od czasów pracy w gazecie „Sport”.

Docieram więc najpierw na skrzyżowanie szlaków wiodących do Medyki oraz do Bieszczad, odnajduję osobliwe muzeum, witając się z jego założycielką i zarazem kustoszem, Panią Zofią Gągałą-Bohaczyk.

Jej informacje zaskakują. Oto w Pilźnie powstała bowiem jedyna w Polsce, zarazem jedna z nielicznych w Europie, placówka mieszcząca zbiory artystycznie wykonanych lalek. Będących bardziej swoistymi dziełami sztuki, niż tradycyjnymi zabawkami. Wszystkie — według pomysłu poznanej Artystki.

Pytam o głośną już w kraju ekspozycję „Pana Tadeusza”. Oto liczy ona w wersjach: stałej i objazdowej — po 78 lalek, ukazując wyłącznie wybrane fragmenty poematu Mickiewicza, te szczególnie nastrojowe oraz uczuciowe. Pomyślana w konwencji światło-dźwięk, naprawdę wzbudza duży aplauz szkolnych wycieczek z regionu, a także zagranicznych turystów. Napłynęły też zaproszenia do odległych nawet zakątków na krajowej mapie.

Dociekam zamysłu dwóch innych stałych wystaw: Lalki Polskie i Lalki Świata — i słyszę od Pani Kustosz: „Przede wszystkim pomyślałam o dodatkowej formie edukacji młodzieży, aby w sposób przystępny, obrazowy, także nieco romantyczny, przybliżyć zwiedzającym sylwetki niektórych Polek, w tym Urszulki Kochanowskiej, a także połączonej z Polską Marysieńki Sobieskiej.

Natomiast lalki świata są próbą rozszerzenia wiedzy o tradycjach i folklorze innych państw. Bogactwo strojów i egzotyka owych lalek niewątpliwie rozwija wyobraźnię i zmysł estetyczny u każdego”.

Odjeżdżając w ciepłe popołudnie do Krosna, czułem się rzeczywiście bardziej „u duchowiony”, stąd własna i absolutnie nie wymuszona chęć powrotu kiedyś do tego czarownego miejsca. A już w Warszawie, ku osobistej oraz być może również „lalkowej” satysfakcji, udało mi się zaprezentować medialnie ów ewenement z Pilzna.

* * * *

Czy można przekuć własne, wieloletnie umiłowanie kolarstwa i jego wybitnych postaci, jak m.in. Stanisław Królak, Stanisław Szozda i Ryszard Szurkowski, w bycie potem cenionym i lubianym sprawozdawcą Eurosportu? Można!

Takim właśnie prawdziwym pasjonatem i zdolnym komentatorem zarazem, jest Pan redaktor Stanisław Brzóska.

Relacjonował wiele imprez najwyższej rangi, w tym np. letnie igrzyska olimpijskie w Barcelonie oraz te w amerykańskiej Atlancie. Przez wiele lat towarzyszył również kolarskiemu Wyścigowi Pokoju i Tour de Pologne.

Poznałem Go osobiście, zaprzyjaźniliśmy się, co jest dla mnie miłym oraz dużym wyróżnieniem. Kiedy więc Czytelnicy zaprzyjaźnionego ilustrowanego czasopisma chcieli się dowiedzieć coś więcej o pracy telewizyjnego sprawozdawcy sportowego, była dla nich moja warszawska ciekawostka.

Kulisy funkcjonowania w każdym studio tv, zwłaszcza w takiej stacji jak popularny u nas Eurosport, pozostają bowiem na ogół mało lub w ogóle nieznane. Naciskam tedy Staszka na uchylenie rąbka tajemnicy. Nie odmawia.

„Mamy specyficzne warunki, gdyż większość zawodów +oprawiamy+ głosem biegnącym nie z areny walki na trasie czy stadionie, lecz z warszawskiego studia, w pobliżu Łazienek. Do dyspozycji jest tam w istocie ten sam obraz, który dociera do ogółu widzów.

Stąd duża też rola realizatora programu w przygotowaniu dodatkowych środków, jak np. stały nasłuch angielskiego sprawozdawcy stacji, ogląd newsów światowych agencji prasowych — w tym PAP — oraz uzyskanie połączeń telefonicznych z miejscem sportowego wydarzenia” — wylicza Brzóska.

Według niego, trzeba mieć w studio odrobinę szczęścia, nie poddawać się stresowi, bo bywa. Szczególnie wówczas, kiedy trudno rozpoznać na ekranie sylwetki pochylonych, często mocno zakurzonych, zaś podczas deszczu okrytych pelerynami — kolarzy. Łatwo się wtedy pomylić, choć przecież komentator powinien wiedzieć, kto ucieka z peletonu i kto wygrał etap.

Stres ujawnia się również m.in. podczas zbiorowej kraksy, gdy sprawozdawca Eurosportu nie jest w stanie podać natychmiast nazwisk uczestników kolizji. Oby więc takich przypadków było jak mniej.

Dołączyłem się do życzeń Rozmówcy, wyrażając ze swojej strony nadzieję na dużą dawkę emocji kolarskich w przyszłości. Oczywiście z telewizyjnym udziałem mego usportowionego Druha.

Puenta warszawskiej korespondencji brzmiała zaś: Nie bójmy się zrealizować w praktyce własnych zamiłowań oraz „uśpionych” niekiedy predyspozycji.

Wśród swoich, tam i tu

Już jako młody chłopiec wiedziałem o naszych sławnych pilotach, którzy bronili nieba nad Anglią. Tym dumniej — przy okazji koleżeńskich rozmów — nosząc głowę, że był wśród tych lotników również brat mojej Mamy — Władysław.

Skromny wychowanek lwowskiego aeroklubu trzymał w czasie wojny stery bombowca, osiadł potem w Argentynie, pracując odważnie jako fabryczny pilot-oblatywacz i po latach uczciwego życia, opłakiwany przez żonę — Włoszkę, spoczął na cmentarzu w Cordobie.

Profesja pilota jest zawsze jednakowo odpowiedzialna oraz niebezpieczna, zwłaszcza podczas wojny. No, ale bombowce to nie szybkie myśliwce, a u nich asem był major Stanisław Skalski, późniejszy generał.

Widywałem Bohaterskiego Lotnika w stolicy, na różnych akademiach, spotkaniach, lecz z pewnej odległości i bez szans na bezpośredni kontakt. Na szczęście do czasu, kiedy to LOT podjął rozmowy ze stroną litewską o zamiarze uruchomienia stałego połączenia Warszawa — Wilno.

Poleciała tam grupa oficjeli, także nasz słynny pilot i paru dziennikarzy, w tym moja skromna osoba. Uroczyste powitanie, kwiaty, a później konkretne rozmowy „plenarne”.

Tuż przed ich zakończeniem, wyraźnie wzruszony generał przypominał, że w 1942 roku został dowódcą dywizjonu „Wileńskiego”, czyli Ziemi Wileńskiej. Że wśród Jego podwładnych oraz kolegów byli rdzenni wilnianie, z których wielu przeplaciło walkę własnym życiem. Ze smutkiem i zadumą dodał też na zakończenie: „A to teraz jest zagranica...”.

Zapanowała spora konsternacja, oziębły błyskawicznie twarze Litwinów, oddaliła się od lotnika ekipa miejscowej telewizji. Za to ja miałem sposobność długo porozmawiać bezpośrednio i serdecznie z opuszczonym nieelegancko, niby ze względów „dyplomatycznych”, legendarnym polskim pilotem, Stanisławem Skalskim. A także szczerze, ciepło i ze zrozumieniem Go uściskać.

Jako lwowianin — nie mogłem inaczej.

* * * *

Fascynował mnie już od początku emisji, telewizyjny serial dokumentalny „Pieprz i wania”, autorstwa Elżbiety Dzikowskiej i Tony Halika. Po paru latach, ku miłemu zaskoczeniu, zobaczyłem znaną podróżniczkę „na żywo” w hali odlotów dawnego dworca Okęcie. Linia Aeroflotu wybierała się wraz z koleżanką do Lwowa, podobnie jak ja. Mielśmy w samolocie miejsca blisko siebie.

Stary gruchot, bodajże jeszcze AN-24, z trudem przebijał powietrze, skrzypiał i mocno nim miotano. Zauważyłem na twarzy Pani Elżbiety cień zdenerwowania, a przecież wcześniej odbyła wiele powietrznych podróży po całym świecie. Coś tam okolicznościowo „zagałem” do pasażerek, kładąc nacisk na wiarę w bezpieczne lądowanie.

Tak też było, a ponieważ już wcześniej kilkakrotnie odwiedzałem to moje urokliwe i na zawsze swojskie miasto — w przeciwieństwie do lwowskiego „debiutu” obu Pań — obarczyły mnie zaszczytną, ale i wielce odpowiedzialną rolę „przewodnika”.

Oczywiście, wiedziały One, iż Lwów to piękny, zabytkowy oraz od bardzo dawna, prężny naukowo i kulturalnie — gród. Że w bogatej historii „zawsze wiernego miasta”, uwieczniło się swoim bohaterstwem wielu Synów Lwowa, jego dorosłych i młodocianych obrońców, których prochy spoczywają w Kwaterze Orląt Lwowskich na Cmentarzu Łyczakowskim. Wiedziały o słynnych lwowskich budowlach sakralnych - Katedrze, Kościele św. Elżbiety, czy Kaplicy Boimów.

Zaistniała jednak szansa podzielenia się serdecznymi wspomnieniami moich Bliskich, np. o tamtejszym Teatrze Wielkim, Uniwersytecie Jana Kazimierza, ze swoją słynną „szkołą matematyczną”, której zdolni wychowankowie rozszyfrowali wielką tajemnicę niemieckiej „Enigmy”, o równie zasłużonej Politechnice Lwowskiej, tudzież o Parku Stryjskim — oazie ciekawej przyrody i miejscu lokalizacji pomnika Jana Kilińskiego, o walorach krajobrazowych sąsiadującego z naszym osiedlem Podzamcza oraz pobliskiego Wysokiego Zamku, o urodzie

neorenesansowo-secesyjnego Dworca Kolejowego, kryjącego swoje perony pięknym szklanym dachem, a nawet o codziennej egzystencji Miejskiej Kolei Elektrycznej — bo tak nazywała się przed wojną lwowska firma tramwajowa.

Jakoś szczęśliwie uniknąłem późniejszych skarg na tę „spacerowo-opowieściową” usługę, stąd w powietrznej drodze powrotnej stanowiliśmy już dość mocno zaprzyjaźnioną „trójkę”.

Dobry nastrój Pani redaktor Eli Dzikowskiej i Jej koleżanki, Pani Krystyny, umacniał również fakt, iż dotarli we Lwowie do pracowni polskiego artysty malarza, którego kilka obrazów miało zasilić przygotowywaną właśnie z Ich inicjatywy wystawę w warszawskiej „Zachęcie”, stanowiącą „Spojrzenie wstecz na naszą cywilizację oraz na jej przejście do nowego 21 wieku, także poprzez sztukę”.

Radość i zadowolenie były tym większe, iż obie Panie uzyskały od pewnej wiekowej już lwowianki, unikatową recepturę na bardzo smakowity sernik „po kleparowsku”.

Ja także zdążyłem pozałatwiać pomyślnie swoje sprawy, lecz o nich potem. Chcę bowiem — w imię pamięci o moich Bliskich — odbiec teraz na moment od zasadniczego wątku.

Mama opowiadała, że dziadek lubił robić niektóre zakupy „U krakauerów”, czyli na jednym z lwowskich bazarów handlowych. Skąd taka nazwa? Może stąd, iż dojeżdżali tam również kupcy z Krakowa, ze swoimi specjałami. Ale pewności nie mam, gdyż nawet aktualni lwowianie nic już na ten temat nie wiedzieli.

Ich nowe pokolenie nie znało również — w przeciwieństwie do mnie — genezy określenia „śledź pocztowy”. Wyjaśniam, że chodziło mi o smakowite matiasy w beczkach, czyli delikatosową odmianę śledzi, przywożonych z Gdyni do Lwowa jako „bagażowa przesyłka”, w kolejowym wagonie pocztowym.

Skorzystawszy z chwili wolnego czasu wybrałem się na owe targowisko. Niestety, z dawnej jego — opiewanej w rodzinnych relacjach — asortymentowej świetności i własnego kolorytu, prawie nic już nie pozostało. Ot, szary, zabłocony wówczas plac, kilka zadaszonych skąpo stołów „na nabiał”, nieco oddzielnych straganów warzywno-owocowych, parę rozstawionych łózek turystycznych z konfekcją, małe stoisko szewca, zwanego z lwowska „połatajką” oraz starszy mężczyzna reklamujący półgębkiem „piwu i wódku”, wówczas reglamentowane.

Chyba jedynym towarem nawiązującym swoją oryginalnością do przedwojennych czasów, były dostępne na bazarze granaty. Owoce raczej mało teraz u nas popularne. Nie kupiłem, bo już sama ich nazwa źle mi się kojarzy.

Tak czy owak, moją lwowską misję uważam za udaną. Warto dodać przy okazji, że w goszczącym mnie — już parokrotnie zresztą — oddziale ukraińskiej agencji prasowej RATAU, nadal pod koniec minionego wieku dostrzec można było część mebli, a także piękny kaflowy piec, z oznakowaniem Polskiej Agencji Telegraficznej PAT, tzn. poprzedniczki mojej firmy — PAP.

Samo życie to, czy chichot historii?

* * * *

„Cudze chwalicie — swego nie znacie”. Pod takim nieco przewrotnym i marketingowo pachnącym hasłem, krakowska organizacja turystyczna wraz z małopolską dyrekcją kolei, zorganizowała — dla dziennikarzy z całego kraju — przejazd zabytkowym pociągiem popularną od czasów Galicji, karpacką trasą: „Na Słowację i Węgry”. Chętnie skorzystałem z letniego zaproszenia, na rok przed upływem poprzedniego stulecia.

Metę „ekspedycji” ustanowiono w Krynicy, gwarantując nam po drodze wiele wspaniałych widoków, a także dłuższy postój w Ciężkowicach, aby poznać miejscowe cudo przyrody, jakim jest rezerwat Skamieniałe Miasto. Są tam olbrzymie głązy skalne oraz wysoki, unikatowy Wodospad. Wcześniej jednak dostrzec można było lesiste wzgórza sławetnego Łowczówka, mającego swoją upamiętnioną nazwę na tablicy Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

Widzimy oto na wysoko położonej i dużej polanie, rzędy mogił żołnierskich po jednej z największych bitew z przełomu 1914 i 1915 roku. Ze znaczącym udziałem i męstwem legendarnej I Brygady Legionów, dowodzonej wówczas przez samego Józefa Piłsudskiego.

Na tamtejszym wojskowym cmentarzu spoczywa również — zgodnie ze swoją ostatnią wolą — zmarły na początku 2000 roku w Londynie, generał Gustaw Dobek. Legionista, a potem zdolny dowódca 3 Brygady Strzelców Karpackich, zdobywców włoskiej Bolonii. Odwiedziłem prywatnie parę lat później ową nekropolię i grób generała. Napis na płycie głosi: „Pod Łowczówkiem się bił, aż skończył drogę zbrojną i spocząć tu chciał, przy kolegach z młodości”.

Muszę koniecznie dodać, iż podczas II wojny światowej całe bez mała karpackie Pogórze Ciężkowickie było świadkiem bohaterskich walk Batalionu AK „Barbara”. To jego partyzanci przygotowali i przeprowadzili też słynną operację III Most, polegającą na brawurowym przekazaniu Anglikom z polowego, podtarnowskiego lądowiska w Jadownikach Mokrych nad Dunajcem, rakiety V2 „skradzionej” Niemcom i gorączkowo przez nich poszukiwanej po nieudanym starcie próbnym.

Wróćmy jednak do naszego pobytu w Skamieniałym Mieście. Spotkał się tam z dziennikarzami duży znawca tej Ziemi, geolog i klimatolog, Pan dr Franciszek Pulit. Autor licznych opracowań naukowych oraz specjalistycznych książek o osobliwościach przyrodniczo-krajo-
brazowych tej części dawnej Galicji.

Od Niego wiem, że rozrzucone na obszarze 15 hektarów lesistego stoku wzgórza głązy, to ostańce skalne o wysokości od kilku do kilkunastu metrów. Mają dziwaczne kształty, uformowane przez wietrzenie i erozję w grubo ławicowych piaskowcach. Kształtem i mikrorzeźbą upodobniają się np. do ogromnych grzybów, dużych baszt, domów, piramid, zwierząt, a nawet mocarnej czarownicy. Stąd wiele legend na temat powstania tego dużego skaliska.

Jedna z nich powiada, że legendarny władca grodu — Cieszko, pragnął nabyć sąsiednią wieś Kąsna, należącą do Rożena z Rożnowa. Do ceny tej posiadłości zgodził się dodać brankę, która znalazła schronienie pod jego dachem. W chwili jednak gdy wyraził ową zgodę, łamiąc odwieczne prawo gościnności, skamieniał cały gród wraz z mieszkańcami i zwierzętami. Zrozpaczona branka popełniła samobójstwo, lecz nawet śmierć nie przerwała jej wielkiego żalu.

Płacze ciągle w nieznanej skalnej pieczarze, dając swoimi łzami początek zimnemu strumieniowi spływającemu z wysokiej skały, w jarze zwanym „Wodospad”. Do tego bardzo głębokiego wąwozu nigdy nie docierają promienie słoneczne, przez co panuje tam swoisty mikroklimat, odzwierciedlany przez faunę i florę.

Ruszamy po dłuższym czasie dalej, rzeczywiście malowniczą wielce linią szynową, wzdłuż doliny rzek: Białej Dunajcowej i Popradu. Bez przesady można ją zachwalać jako jedną z najpiękniejszych w Polsce, jeśli nie — trasą numer 1.

Mijając sanatoryjny, tonący w gęstych drzewach porastających zbocza — Żegiestów, a potem dostrzegając ruiny starego zamku w urokliwej Muszynie, nasz specjalny pociąg dociera przed wieczorem do Krynicy.

Uzdrowisko to, bogate w wody mineralne i inne ozdrowieńcze atuty, ale również w swoją ciekawą historię, stara się kultywować legendę Jana Kiepur i Jego „Patrii”, a przede wszystkim pamiętać o Nikiforze, miejscowym malarzu-prymitywiście.

Nie kryję, iż Krynica jest mi od dzieciństwa bardzo bliska, bo w niej osiedlił się po wojnie nasz kresowy wuj z żoną, bardzo gościnni w swojej części willi, nomen omen o nazwie „Tońko”. Nie mogli się zawsze doczekać, kiedy Ich w wakacje odwiedzimy i muszę ze skruchą przyznać, że zwłaszcza jako „szkolny Wiesiek”, korzystałem z tego w nadmiarze.

Uwielbiał wujek opowiadać dawne „wschodnie” anegdoty, zwłaszcza te o znanych powszechnie „dwóch batiarach”. Jedną z nich lubię do dzisiaj.

Brzmi następująco: „Do bardzo popularnej lwowskiej kawiarni +U Żorża+ wchodzi Tońcio ze Szczepciem. Zostawiają płaszcze na wieszaku przy drzwiach, zajmując stolik naprzeciwko. Szczepcio zauważa, że Tońcio niemal od razu zaczyna patrzeć uparcie w stronę kawiarnianego wejścia. Czekasz na kogoś? Nie — odpowiada przyjaciel. Pilnuję swego płaszcza, bo twego już tam nie ma”.

Zmieniła się Krynica od „moich czasów”, unowocześniła raczej nadmiernie, lecz na szczęście nie do końca. Pozostał pomnik Zosi z „Pana Tadeusza”, pozostała „Bocianówka” i specyficzny w smaku „Zuber”. A także murek przed Deptakiem, gdzie razem z rodzicami widywałem często drobnego sylwetką i wzrostem Nikifora, siedzącego pośród kredek i sterty papierów.

Drażnili Go przezwiskami miejscowi dorożkarze, wołali: „Niki, fora ze dwora”, odganiając od nieszczęśliwca nielicznych zresztą wówczas „klientów”. Na należyne temu Artyście prawdziwy szacunek, przyszło pochodzącemu z Łemków człowiekowi, jeszcze długo poczekać.

Umilkły niestety dawne codzienne i wielce przyjemne latem, koncerty tamtejszej orkiestry kameralnej, w Muszli na Deptaku. Słysząc już tylko dalekie echa jej wiedeńskich walców oraz naszych oberków czy krakowiaków.

Zniknął piękny drewniany pawilon Starej Pijalni, cały obrosnięty bluszczem, usytuowany koło dworca kolejki na Górę Parkową. Pożar strawił część zabytkowych willi w centrum, nad potokiem. Powstał za to drażniący aluminiowymi elementami — Nowy Dom Zdrojowy.

Lecz mimo to, żadna ludzka siła nie jest w stanie zaburzyć swego piękna „stolicy kurortów”, podobnie jak też uroku i malowniczości tej Ziemi. A jednak z poczuciem pewnego smutku i niedosytu, wracałem po dwóch dniach — przez zabytkowy Kraków — do odnowionej Warszawy.

* * * *

Dziennikarza nie powinno nic zdziwić. Także więc fakt datowany na 2000 rok, gdy podczas służbowego pobytu w słowackim mieście Presovie, przyszło mi nieoczekiwanie nasłuchać się aż tylu pochwał pod adresem polskiej myśli technicznej i konstruktorów pojazdów... zdalnie sterowanych.

Przebywałem w tej części Karpat wspólnie z oficjalną delegacją naszych przewoźników autokarowych, gdy akurat odbywały się tam również międzynarodowe pokazy osiągnięć modelarstwa samochodowego.

Polacy, wtedy pod wodzą Pana Krzysztofa Mamcarza — wychowawcy kilkunastu medalistów oraz uczestników mistrzostw Europy i świata — udowodnili Słowakom i innym nacjom, swój wysoki kunszt.

Tego rodzaju rywalizacja to dla mnie „czarna magia”, dlatego ucieszyłem się zgodą modelarskiego „guru” na rychłą rozmowę w Warszawie. Była zarówno interesująca, jak i jednocześnie „odkrywcza”. Warta więc skrótowego przypomnienia.

Okazuje się, iż ta dziedzina zainteresowań lubi rodzinne korzenie. Tata pana Krzysztofa pracował przed wojną w Białej Podlaskiej, następnie w Lublinie, m.in. przy budowie samolotów ze słynnej serii RWD, konkretnie zaś wersji XIII. Potem osiedlił się w Mielcu, będąc liczącym się modelarzem-stolarzem w tamtejszych zakładach WSK-PZL.

Trudno więc, aby jego syn nie skorzystał z tych doświadczeń. A ten nie dał się długo prosić i już od lat 50-tych „bawi się” sklejką, tworzywami sztucznymi, mini-silnikami oraz urządzeniami radiowymi.

Konkretnie chodzi o budowę modeli samochodów zdalnie kierowanych — RC. Indywidualna praca przy każdym z nich pochłania często nawet i 3 miesiące. Są następujące kategorie wychynowych zmagania: modele samochodów terenowych z napędem na jedną i dwie osie, takowe do wyścigów zespołowych, tudzież turystyczne oraz te wyścigowe, klasy „Formuła 1”.

Każdy zawodnik, np. w zespołowej konkurencji Team Racing, uczestniczy w pięciu biegach eliminacyjnych, gdzie podczas 5 minut należy zaliczyć jak najwięcej okrążeń toru. To decyduje o kwalifikacji do finału A, B, C, lub D.

Kierowane radiem samochodziki terenowe jeżdżą po torach z przeszkodami, zaś te turystyczne i wyścigowe — po torach tzw. szybkościowych. Sezon wyścigowy na świeżym powietrzu, np. na boisku asfaltowym, rozpoczyna się wiosną, a kończy 1 października, po której to dacie następuje przejście na tory halowe.

Jak zaznaczył mój Rozmówca, jest to hobby autentycznie rodzinne, gromadzące na zawodach rzeszę krewnych i znajomych startujących modelarzy. Stąd zaprosił poznanego żurnalistę i jego rodzinę na przyszłoroczną, widowiskową imprezę RACING SHOW, w Warszawie.

Niestety, termin lutowy okazał się dla mnie redakcyjnie zajęty, musiałem więc obyć się wyobraźnią. W tym przypadku jednak: „blisko sterowaną”.

Z tuzami polskiej sztuki

Każdy z nas miał zapewne swoich własnych idoli. Osobowości, które podziwiał za talent, wiedzę, umiejętności, a i za urodę. Może nawet po ludzku trochę im zazdrościł. Nie stanowiłem wyjątku, lecz przecież zwłaszcza o jakimś bezpośrednim spotkaniu, a tym bardziej o porozmawianiu z ulubioną „gwiazdą”, można było raczej tylko pomarzyć.

Owszem, trafił się dawno temu taki incydent w moim życiorysie, gdy w Sopocie nestor polskiej piosenki Maestro Mieczysław Fogg wziął mnie za zagubionego cudzoziemca, pytając po angielsku: „W czym mi może pomóc”. Lecz była to jedynie krótka, ulotna chwila.

Dopiero kiedy objąłem — na zasadzie współpracy — prowadzenie autorskiej rubryki „Podróżuj z nami”, w kolorowym czasopiśmie dla pasażerów pociągów InterCity, nastąpiła dla mnie możliwość bycia bliżej fascynujących postaci z różnych dziedzin naszej kultury i rozrywki. Przez ładnych kilka lat domowe archiwum przyjęło dość sporo medialnych efektów owego „obcowania”.

Zamierzam podzielić się teraz niektórymi z nich.

* * * *

Słyszę oto kiedyś w kolejowej redakcji, że zależy im bardzo na rozmowie z Adamem Hanuszkiewiczem, ale jest on obecnie trudno dostępny dla mediów. Pomyślałem sobie, a czemu nie mam spróbować, w końcu my obaj ze Lwowa. Rzeczywiście pomogło.

Hanuszkiewicz, po latach kierowania Teatrem Narodowym i wyreżyserowaniu tam tak głośnych spektakli, jak: „Balladyna”, „Sen srebrny Salomei” i „Wesele” — objął stanowisko dyrektora Teatru Nowego na Mokotowie, co zapewne całkiem słusznie traktował jako przykrą „banicję”.

O umówionej porze schodzę z sekretariatu schodkami do Jego gabinetu, chwilę luźno gawędzimy „o starych Polakach”, a potem już konkretnie. Na moje pytanie, co dziś oznacza pojęcie „Teatr dla ludzi” — Pan Adam Hanuszkiewicz mówi: „Według mnie oznacza dobrany zespół, mądre teksty oraz dającą się zauważyć odrębność artystyczną danej sceny.

Nie mam wątpliwości, że współczesny teatr musi być intensywny, zmysłowy i na swój sposób agresywny, ale jednocześnie pozostawiający widzowi coś do myślenia. Na jednym wzorze, stereotypie artystycznym, trudno bowiem długo utrzymać jego rangę”.

W którymś momencie indaguję Mistrza, czy widzi aktualnie szansę tworzenia dzieł na poprzednią skalę. Także widowisk telewizyjnych tej miary, co Jego wspaniała adaptacja mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza”. Reżyser, po chwili smutnej wyraźnie zadumy, odpowiada: „Raczej nie, bo gdzie ta nadzwyczajna wrażliwość Joasi Jedlewskiej czy Kaliny Jędrusik. Gdzie poczet największych polskich aktorów-szlachciurów. Ich miejsce w teatrze zajęli mieszczenie i chłopci”.

To była może zbyt mocna ocena ze strony Hanuszkiewicza, lecz — jak miałem wówczas i teraz tę pewność — płynąca głównie z zatroskania Wielkiego Artysty przyszłym losem Jego ukochanej dziedziny sztuki.

Tuż przed pożegnaniem nie mogłem sobie jednak odmówić zwrócenia się do Gospodarza w nurtującej mnie prywatnie od dawna — kwestii.

Otóż krążyła po kraju wesoła opowiastka, iż za czasów dyrektorowania przez Hanuszkiewicza Teatrem Narodowym, chcąc zaangażować do swojego zespołu wielce dowcipnego i lubianego Zdzisława Maklakiewicza, posłał aktorowi telegram zawierający tylko dwa słowa: „Angażuję. Hanuszkiewicz.” Wkrótce miał ponoć otrzymać depezę: „Gratuluję. Maklakiewicz”.

„Wiem, słyszałem, lecz było nieco inaczej. Zatelefonowałem do Zdzicha, że chcę go u siebie, w Narodowym. Zapytał po swojemu, skromnie: A co ja tam miałbym w ogóle grać? Odparłem, że ja go angażuję nie po to, aby grał, lecz żeby robił dobrą atmosferę w zespole. Wyraźnie odetchnął: No chyba, że tak” — wyjaśnia Wybitny Reżyser.

Niby owa informacja jest mało istotna, ot jeden z wielu teatralnych „mitów”, a jednak bardzo przecież ciekawa i wzbudzająca szczery uśmiech. Dlatego, chociaż poznałem sedno dowcipnej sprawy, ani myślę uznać owej anegdoty za bezużyteczną.

* * * *

Nawet nie będąc zbytnim miłośnikiem skrzypiec, trudno wirtuozów tego instrumentu prawdziwie nie podziwiać. A do takich należy bez wątpienia Konstanty Andrzej Kulka. Solista o światowej sławie, wtedy już również ceniony pedagog warszawskiej uczelni muzycznej.

Dociekałem fascynacji Mistrza, co wobec Jego szerokiego repertuaru — od muzyki dawnej, tej też z epoki baroku, po współczesną — nie było takie proste.

Stanęło jednak na tym, że koncerty Beethovena, Brahmsa i Czajkowskiego uznawane są za najlepsze, bo „tak rzeczywiście jest”. Maestro dodał jednak szybko, iż nie można też zapomnieć o naszych współczesnych kompozytorach — Lutosławskim oraz Pendereckim.

Nie obyło się bez małego zaskoczenia, kiedy sam powiedział: „Owszem, nie stronię również od posłuchania lżejszej muzyki, ale w tym ambitniejszym wydaniu, np. Stinga i Collinsa. Ostatnio natomiast zdarzyło mi się w Dworku Paderewskiego w Kąsnej Dolnej, koło Tarnowa, zagrać fragmenty suity jazzowej obok Michała Urbaniaka. Było ciekawie”.

W moich własnych gdańskich czasach mieszkałem na ulicy Zakopiańskiej, parę domów dalej od kamienicy, w której ongiś dorastał mały Kostek, przyszły Mistrz skrzypiec, Konstanty Andrzej Kulka. Biłem się z myślą — powiedzieć o tym? Ostatecznie jednak zrezygnowałem z przechwałki wobec Wielkiego Muzyka, iż byliśmy dawno temu młodzieńcami niemal „z tego samego podwórka”.

Dzisiaj trochę żałuję utraty szansy porozmawiania — obok kwestii fenomenu wiolinowej sztuki — także o historycznych i powojennych dziejach pięknej dzielnicy Gdańska, która nazywa się Siedlce.

* * * *

Źle, oj bardzo źle się spisałem podczas długo wyczekiwanego wywiadu z ogromnie sympatycznym, znakomitym Aktorem charakterystycznym — Panem Wiesławem Gołasem.

Siedzieliśmy w kawiarence warszawskiego Teatru Polskiego, kiedy w pewnej chwili zaprezentował swój nowy trik sceniczny, taki „z papierosem”, bacznie obserwując moją reakcję. Była nijaka, wręcz żadna.

Zaskoczony Artysta powtórzył drugi raz tę scenkę — nic. Trzeci raz — to samo. Poczuliśmy się obaj fatalnie i wtedy wydobyłem z siebie szczere wytłumaczenie. Córka wówczas chorowała i cały czas miałem to w głowie, stąd nieelegancka apatia.

Mistrz Gołas zrozumiał, a nawet kilka dni później nieoczekiwanie zadzwonił, pytając o zdrowie mojej latorośli.

Wcześniej jednak dowiedziałem się, prawdopodobnie jako jeden z pierwszych żurnalistów, iż Wiesław Gołas był w latach okupacji członkiem Szarych Szeregów, doznając przez kilka miesięcy udręki gestapowskiego śledztwa w kieleckim więzieniu. Zaś po wojnie niewiele brakowało, aby mój Rozmówca został śpiewakiem operowym, gdyż i w tej dziedzinie wróżyono aktorowi dużą karierę.

Ale kto by nas wówczas wzruszał oraz bawił jednocześnie w wielu filmach, przedstawieniach teatralnych, nie mówiąc o występach w telewizji. Prywatnie Pan Gołas uwielbia gotować żurek, przyjaźni się serdecznie z kolegą „od Kabaretu Starszych Panów”, Wiesławem Michnikowskim, natomiast swoje estradowe piosenki przygotowuje najczęściej wraz z Wojciechem Młynarskim.

Na zakończenie spotkania podziękowałem Drogiemu Panu Wiesławowi, wspomniałem Artystę, zwłaszcza za dwie — jakże odmienne — lecz dla mnie niezwykle istotne i zapamiętane role. Te w filmach: „Ogniomistrz Kaleń” oraz „Żona dla Australijczyka”.

Potrafił w nich ukazać na twarzy zarówno duże cierpienie i hart ducha pojmanego żołnierza, jak też — w tym drugim przypadku — ludzką nieśmiałość i wrażliwość, których to cech powoli nam, niestety, w codziennym życiu ubywa.

* * * *

Mam, z rodzinnych przede wszystkim względów, duży podziw i uznanie dla wokalistyki na wysokim poziomie. A co dopiero wobec osób z samych wyżyn tej sztuki. Takim artystą był i pozostaje nadal Wybitny śpiewak operowy, polski tenor o światowej sławie — Ryszard Karczykowski.

Chciałem skorzystać z okazji, iż w przededniu 2000 roku oraz jubileuszu 35-lecia swojej kariery scenicznej, przyjechał z zagranicy do Warszawy, aby „być chwilę wśród swoich”. Szanse rozmowy określano jako nikłe, podzielałem ten pesymizm i do teraz nie wiem, komu zawdzięczać powodzenie starań.

Startuję z wysokiego „C”. Mówi się, że piękny głos to dar niebios. Jaka jest Pańska — Maestro — rada w staraniach o osiągnięcie ideału sztuki wokalne?

„Owszem, to dar dla człowieka. Chodzi jednak przede wszystkim o umiejętność operowania tym głosem. Do tego potrzeba całych lat nauki, stałej pracy nad sobą, a także korzystania z fachowych porad i konsultacji pedagogów. Słowem — dla kariery śpiewaka, dla tego uroczego, lecz i piekielnie trudnego zawodu, sam talent jest tylko połowicznym atutem. Najważniejsze są ćwiczenia i samokontrola, jeśli chce się nie tylko pięknie, ale i długo śpiewać” — zaleca Mistrz Karczykowski.

Potem następuje chwila Jego niespodziewanego rozgoryczenia.

„Nie umiemy wypromować własnych artystów, nie dbamy o sławę rodaków. Trzeba dopiero wyjechać, zdobyć markę, potwierdzić swoje możliwości wokalne, aby coś znaczyć

w Polsce. Ale i wówczas nie wszyscy chcą to przyjąć do wiadomości, mnożą się wątpliwości. Dlatego niezwykle ważna jest rola mediów w kreowaniu utalentowanej młodzieży. Wiedzą o tym np. Włosi, stąd Andrea Bocelli stał się znany również i u nas. W Polsce jednak taki talent pozostaje raczej sam” — konkluduje Wybitny Tenor.

Nic tedy dziwnego, że pożegnalna ceremonia przebiegała wyraźnie w minorowym nastroju. Pomyślałem sobie — może i lepiej, że moja Kochana śp. Mama, kształciła się wokalnie i występowała scenicznie w innych, bardziej odległych czasach.

* * * *

Wielce ciekawym i sympatycznym rozmówcą okazał się dla mnie znany aktor, Pan Mieczysław Kalenik. Odtwórca kilkuset ważnych ról teatralnych, telewizyjnych i filmowych, pamiętny powszechnie jako dzielny Zbyszko z Bogdańca w „Krzyżakach”, wyreżyserowanych przez Aleksandra Forda.

Poprosiłem, aby opowiedział mi o swojej pracy w tym filmie, zdradził to, czego nie ujawniał w licznych wówczas wywiadach dla mediów, czterdzieści lat temu. Chętnie się zgodził, a ja zafascynowany — słuchałem.

Czas od sierpnia do listopada 1959 roku był dla Niego, jak i całej, liczącej prawie 450 aktorów, 5 tysięcy statystów i 3 tysiące koni, ekipy — cudownym przeżyciem. Dopisywała pogoda, stąd ujęcia na planie trwały stosunkowo krótko. Pracowano jednak od wczesnego ranka, do zmierzchu.

Tymczasem nie wiele brakowało, aby mający wówczas 25 lat początkujący aktor nie zagrał tej pamiętnej postaci, gdyż pierwsze próby zdjęciowe w łódzkim atelier były mało obiecujące. Przekonał jednak w końcu do siebie reżysera, wkrótce zaczynając... żałować wyboru.

Już na początku zdjęć plenerowych przyszło Mu bowiem stoczyć walkę z niedźwiedziem, takim prawdziwym. Do dyspozycji filmowców były dwa cyrkowe misie: Mumi i Saba. Ostatecznie wybrano ważącego 300 kilogramów, Mumiego. „Zaraz po wyłączeniu kamery +poczęstował+ mnie solidnym lewym sierpowym, przez co niemal dwa tygodnie straszyłem otoczenie podbitym okiem” — wspomina Pan Mieczysław.

Ryzyko na planie tak weszło aktorowi w krew, że zaczął odmawiać kaskaderom ich zastępstwa przy filmowaniu trudnych pojedynków np. na kopie, a także upadków z konia. Niestety, nie zawsze słusznie — jak przyznaje.

Jest jeszcze inna, bardziej publiczna odsłona ceny, którą przyszło zapłacić mojemu rozmówcy. Otóż na potrzeby roli Zbyszka, musiał mieć celowo zapuszczone, długie blond włosy. Tymczasem „na codzień” obowiązywało w kraju „krótkie strzyżenie”. Powiada: „Nie uniknąłem więc, np. na ulicy, docinków w rodzaju — +Hej, młodzian, obetnij te włosy, nie masz na fryzjera?+. Byli nawet tacy, co wtykali mi parę złotych do kieszeni” — uśmiecha się Artysta.

„Krzyżacy” dysponowali wspaniałą obsadą. Z kim współpracowało się Panu szczególnie dobrze? Po chwili osobistego wzruszenia, Kalenik odpowiada: „Czułem się naprawdę zaszczycony możliwością partnerowania w filmie tak wielkim Artystom, jak Andrzej Szalawski — znakomity odtwórca roli Juranda ze Spychowa, jak Henryk Borowski, grający doskonale dostojnika krzyżackiego oraz Aleksander Fogiel — wielce lubiany przez kinomanów, Maćko z Bogdańca.

Dysponowali nie tylko dużym doświadczeniem, umiejętnościami, ale również — co niezwykle istotne — szczerym koleżeństwem”. Od razu jednak dodaje ciepłe słowa pod adresem „Danuśki” — Grażyny Staniszewskiej i „Jagienki” — Urszuli Modrzyńskiej.

Natomiast w całym życiu zawodowym docenia też współpracę m.in. z Ireną Eichlerówną i Janem Kreczmarem, podobnie jak ongiś z Jerzym Pichelskim, Adolfem Dymszą i Zdzisławem Mrożewskim.

Zapewne owa „lista” byłaby dłuższa, lecz z głośnika w kawiarence Teatru Polskiego odezwał się stanowczy głos dyżurnej inspicjentki, zapraszający Pana Kalenika na próbę sztuki „Igraszki z diabłem”, Jana Drdy.

Z żalem więc „uwolniłem” Artystę od moich dalszych natrętnych pytań, zapamiętując trwale wyjątkową otwartość i serdeczność tego Człowieka.

* * * *

Odwiedziwszy „Gawędę” w czasach Jej największej świetności, udało mi się przekornie, acz zbyt pochopnie, wprawić w duże zakłopotanie założyciela i zarazem wielce zasłużonego dyrektora tego Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego ZHP, druha Andrzeja Kieruzalskiego. Mam to sobie za złe, do teraz.

Zapytałem bowiem już na wstępie, czy wie, kto jest autorem bardzo popularnej nadal pieśni harcerskiej, mówiącej o płonącym ognisku i szumiących kniejach. Odparł, że jest to utwór nieznanego autora. Moja riposta mocno Go zaskoczyła i może też zestresowała.

Brzmiała tak: Autorem pieśni jest Jerzy Braun, filozof, poeta i harcerz z Galicji, zmarły po wojnie w Rzymie. Na ścianie domu przy ulicy Narutowicza w Tarnowie, widnieje pamiątkowa tablica potwierdzająca, iż tu mieszkał, napisał i skomponował jesienią 1918 roku pieśń: „Płonie ognisko i szumią knieje”.

Ten istotny szczegół jest wciąż mało znany, nawet w większości encyklopedycznych biografii Brauna brakuje chociaż małej wzmianki o Jego autorstwie wspomnianego utworu.

Nie trudno natomiast zgadnąć, że po takiej „uwerturze” z mojej strony, klimat wspólnej rozmowy nie był zbyt serdeczny. Na szczęście, tylko przez krótki czas.

Dowiedziałem się, iż „Gawęda” — epatując widzów już od 1952 roku młodzieńczym wdziękiem, radością życia i swoim profesjonalizmem — ciężko na własną renomę pracuje. Aby dobrze śpiewać, tańczyć i inscenizować, potrzeba wielu godzin ćwiczeń sprawności ciała oraz emisji głosu, a także lekcji poprawnej dykcji. Za to efekty są imponujące. Do chwili naszej rozmowy Zespół dał prawie 6,5 tysiąca koncertów w kraju i na świecie, w tym we Włoszech, Japonii, USA, a nawet na Tajwanie.

Oczywiście, nie w tym samym ciągle składzie osobowym. Ale i tu następuje istotna zmiana. Dawniej uczestnik zajęć był artystą „Gawędy” nie dłużej niż dwa lata, natomiast obecnie średnia ta wynosi od 7 do 8 lat. Skąd się wywodzą członkowie Zespołu? Okazuje się, że z różnych warszawskich środowisk. Głównie ze szkół, lecz również z zakładów wychowawczych i domów dziecka.

Jakże jednak mogłoby być inaczej, skoro „Tata Gawędy”, Andrzej Kieruzalski, wyniósł swoje zamiłowanie do artystycznej pracy z młodzieżą, jeszcze z czasów okupacyjnych Szarych Szeregów. Prowadził konspiracyjny teatr „Mara”. Znakomity Gustaw Holoubek stwierdził o tym fakcie następująco: „W działalności zawodowej był w tym okresie w Europie tylko jeden taki przypadek”.

Wracałem do zaprzyjaźnionej współpracą redakcji, mocno zadziwiony i spokorniały jednocześnie. W uszach zaś — prawdopodobnie jako zasłużona pokuta — rozbrzmiewały wyjątkowo głośno i natarczywie, dźwięki Bogu ducha winnego, przywołanego przedwcześnie „harcerskiego hymnu”.

* * * *

„Niech лихо porwie tego całego +Czterdziestolatka+”. Tymi nieoczekiwanym słowami zareagował wielce popularny Aktor Andrzej Kopiczyński na moje „powitalne” pytanie: Jak się

czuje telewizyjny inżynier Stefan Karwowski? Zadałem je już na początku naszej rozmowy w Teatrze Kwadrat, w przerwie próby nowej sztuki, późną jesienią 1997 roku.

Gwałtowny wybuch ze strony bardzo lubianego, podziwianego powszechnie Artysty, nie tyle mnie zdziwił, co zmartwił nieco zaburzeniem przygotowanego wcześniej scenariusza wywiadu, w którym kwestia serialu TVP miała być mocnym akcentem końcowym. Teraz musiałem od niej zacząć, gdyż nieopatrznie „wywołałem temat”. Jednak skoro już...

O co chodzi, Panie Andrzeju, przecież to fajna rola, świetna gra i w ogóle. Dzięki telewizyjnym powtórkom obu części serialu, także tej — „20 lat później” — będą Pana rozpoznawać nawet dzisiejsze małolaty.

„No właśnie, tego się boję. Mam już bowiem dosyć tego sympatycznego skądinąd reagowania na mnie na ulicy, w sklepie czy w parku. Słyszę często: +Dzień dobry, panie inżynierze+, +Olu, zobacz — idzie pan Karwowski+, a także już bardziej obcesowo: +Hej, Czterdziestolatek, Maliniak cię szuka+. To z jednej strony bardzo miłe, a z drugiej — powoli uciążliwe” — nie kryje Artysta.

Zupełnie szczerze przedstawia również kolejny powód swojego problemu. Oto bowiem kręcone są nowe filmy oraz seriale dla kin i telewizji, niby mniej ich niż kiedyś, no ale przecież zawsze... Tymczasem oczekiwanego telefonu do Aktora, od któregoś producenta lub reżysera — brak.

„Zaszufladkowali Kopiczyńskiego rolą Stefana i nie ma zmiłuj” — żartuje smętnie mój rozmówca. Próbuję celowo zbagatelizować sytuację zapewnieniem, że jeśli z jakimś twórcą rozmawiam, to wkrótce ma on powody do zadowolenia. Nic nie odpowiedział, zapalił kolejnego papierosa.

Tu wybiegnę na moment w bliską ówczesnej chwili przyszłość. Po kilku dniach od tej rozmowy zadzwonił mój domowy telefon, słyszę charakterystyczny głos „Czterdziestolatek”. Oznajmia: „Miał pan rację. Dostałem właśnie propozycję roli Zaćwilichowskiego w +Ogniem i mieczem+, Jerzego Hoffmana. Przyjąłem. Dziękuję”.

Wszak to było jednak „potem”. Wcześniej bowiem, jeszcze w teatralnej garderobie Artysty, pozostawaliśmy obaj dość zatroskani. Zagrałem z innej strony. To chyba żart z tą łódką, własnoręcznie wykonaną? Pan Andrzej aż się poderwał. „Jaki żart, sam wydłubałem tę łódkę, zacumowaną teraz nad Bugiem. Zbudowałem też dwa małe jachty, bo lubię stale majsterkować i chyba tylko wędkowanie może z tym rywalizować. Najważniejsze, że później mam kojącą ciszę, kontakt z pięknem natury, przyrodą — bo to pokochałem mocno i szczerze”.

Tak mówił Człowiek, któremu udało się, jak mało komu, wnieść w nasze życie wiele radości. Aktor, mający w swoim bogatym dorobku znaczące role teatralne, telewizyjne i filmowe.

Oglądany m.in. jako tytułowy „Kopernik”, a także kreator znakomitych postaci w macierzystym teatrze Kwadrat. Jak mało kto, potrafiący w sposób wiarygodny i ciepły wcielać się „w skórę” powierzonych Jemu bohaterów. W życiu osobistym natomiast, serdeczny, skromny i bezpośredni.

Wiedziałem już, że cieszy Go bardzo — mimo wszystko — popularność i sympatia okazywana postaci inżyniera Karwowskiego. Wiedziałem też, iż czasami ma dosyć okazywanych z tego powodu uczuć. Może więc rzeczywiście należałoby uszanować taką postawę własną, spokojniejszą reakcją. Lecz co zrobić, skoro tę postać i samego odtwórcę „Czterdziestolatka” trudno — nawet po latach — przestać lubić i tak po prostu wyrzucić z pamięci.

Mnie się to już raczej nie uda. Niezależnie, co nam zgotuje los, a może i tym bardziej.

* * * *

Jak zapewne sporej części osób, nie była mi obca fascynacja wyrazistymi postaciami z oglądanych w telewizji polskich filmów oraz seriali, zwłaszcza tych emitowanych w trzech ostatnich dekadach XX wieku. Moja uwaga koncentrowała się zwłaszcza — ze zrozumiałej zapewne męskiej słabości — na grze zdolnych, lubianych i urokliwych aktorek.

Miałem potem, za ileś tam lat, niewątpliwy zaszczyt wyrażenia swojego osobistego oraz dziennikarskiego uznania, m.in. Pani Magdalenie Zawadzkiej — pamiętnej „Basi” w „Panu Wołodyjowskim”, Pani Stanisławie Celińskiej — wzbogacającej komediowy cykl „Alternatywy 4” i „Zmiennicy”, Pani Grażynie Barszczewskiej — „Ninie” w „Karierze Nikodema Dyżmy”, a także Pani Marzenie Trybała — tytułowej „Hrabinie Cosel”.

Duże wrażenie wywarły jednak także na mnie seriale „Polskie Drogi” i „Jan Serce”. W obu przypadkach z udziałem Pani Jadwigi Jankowskiej-Cieślak, prezentującej w nich prawdziwe „perełki” aktorstwa, co prawda w niedługich ujęciach kamery, lecz niezapomnianych scenach. Zaimponowała naturalnością gry, kunsztem i subtelną kreacją postaci. Dlatego ucieszyła mnie wieść, iż znajdzie chwilę czasu dla mnie.

Najpierw absolwentka warszawskiej PWST, później pedagog stołecznej Akademii Teatralnej, związała się na długo z Teatrem Dramatycznym. Na moje pytanie, czy uważa swój zawód za powołanie — odparła: „Niestety, muszę przyznać, że ja od dziecka nie śniłam uparcie po nocach o owej profesji. Raczej musiałam dojrzeć do wyboru. Dziś mam jednak świadomość, że ten zawód był mi pisany. Nie wyobrażam sobie innego. Może też dzięki temu, iż umożliwia mi stały, specyficzny kontakt z ludźmi”.

Owszem, cieszą Ją dowody sympatii po udziale w obu wspomnianych serialach, lecz aktualnie żyje rolą Klitemnestry w przedstawieniu „Elektra”, reżyserowanym przez Krzysztofa Warlikowskiego. Jej zdaniem, nowe tłumaczenie tekstu Sofoklesa, którego dokonali panowie Antoni Libera i Janusz Szpotański, napisane prostym i zrozumiałym językiem, powinno trafić do wszystkich wrażliwych miłośników teatru.

Dodała też: „Swoją drogą szkoda, że w tak popularnej instytucji jak telewizja, dostrzec można pod koniec XX wieku dość znaczny spadek artystycznego i intelektualnego poziomu twórczości, zarówno teatralnej jak też filmowej. Okazuje się, że tzw. kurs na szerokiego widza, nie zawsze idzie w parze z jakością kulturalnej oferty”.

Nic dodać, nic ująć — Pani Jadwigo. Tyle było wówczas mojego medialnego komentarza. Kto wie, czy nie do powtórzenia także i teraz.

* * * *

Nie łatwo przyszło mi odnaleźć pod zalesioną częścią Warszawy dom, w którym mieszka bliski ongiś przyjaciel niezapomnianych twórców, Jonasza Kofty i Ireneusza Ireduńskiego — artysta malarz Jerzy Ciesielski. Ale się udało i możemy porozmawiać.

„Ech, Jonasz, Irek... Owa cudowna, niepowtarzalna aura obcowania ze sobą. Te wielodniowe często dysputy o sztuce, o życiu, także i marności świata. To już niestety minione dzieje. Wyznam dziś szczerze, że zdradziłem Ich, bo kiedy zabrakło Kofty i Ireduńskiego, skończył się dla mnie dekadenccki czas. Pozostał tylko napisany przez Jonasza dla mnie, wiersz: +Ballada o starym Rembrandcie+”.

Może nie jest z tą dekadencją aż tak źle... Staram się pocieszyć Gospodarza. Ale słyszę: „Jest znacznie gorzej u mnie, gdyż szybko +poleciałem+ w komercję, aby nie zostać za bardzo w tyle. Wybudowałem dom, posadziłem drzewa, urodziło mi się dziecko i mało brakowało, aby +koło się zamknęło+.

Duszy nie można jednak oszukać. Kiedy wszedłem do pracowni, rozłożyłem pędzle, cisza obudziła we mnie wszystkie uśpione demony. Maluję, maluję, maluję. Po części, muszę być aktywny ponieważ nawiązałem nowe kontakty z galeriami w Europie”.

Mówi Pan o komercji tak, jak gdyby się jej wstydził... „A właśnie, że nie. Na Zachodzie nikt nie pyta, czy jest artystą takim, czy takim. Podstawowe pytanie brzmi: co pan potrafi namalować, skomponować, lub wykonać. Nie, nie wstydzę się komercji ponieważ każda sztuka

wykonana profesjonalnie — będzie sztuką. Swoją drogą czekam, kiedy i u nas w Polsce, wyjaślaruje się sytuacja na rynku sztuki” — akcentuje Jerzy Ciesielski.

Słuchałem Artysty, którego obrazy zawędrowały od Europy po Chile i Japonię, od Nowej Zelandii po Kanadę i Meksyk. O którym krytyk sztuki, Jolanta Król, napisała: „Szacunek dla warsztatu i rzemiosła malarskiego pozwala mu odkrywać w malarstwie dawnym rzeczy, których współczesna sztuka temu artyście nie daje. Należy do twórców pozostających przy tradycji, przekonanych o słuszności własnej drogi i nie porzucających zaufania do klasyki”.

Z przyjemnością wspominam teraz spotkanie z ową ciekawą, może nieco artystycznie zmanierowaną, lecz po ludzku ciepłą, Osobowością.

* * * *

Jako autor rubryki goszczącej na swoich łamach ciekawe osobowości naszej szeroko pojętej kultury, artystycznej sztuki i rozrywki, nie mogłem sobie darować tej Postaci. Jednego z najzdolniejszych artystów młodszego pokolenia. Pełnego oryginalnych pomysłów reżysera i scenarzysty, uznanego choreografa i tancerza — Janusza Józefowicza.

W warszawskim Teatrze-Studio Buffo stworzył najgłośniejszy u nas musical „Metro”, z którym trafił aż na Broadway. Wspólnie z Januszem Stokłosą przyczynił się do międzynarodowej kariery Edyty Górniak. Wykreował też grono innych młodych wykonawców. Rozmawiamy latem 1999 roku.

Obok „Metra” zadziwił Pan równie udanymi spektaklami: „Do grającej szafy grosik wrzuć”, „Obok nas”, i „Przeżyj to sam”. Skąd to wzruszające zainteresowanie piosenkami lat 60., 70., i 80-tych?

„Chyba stąd, że z wyjątkiem utworów z lat 20-tych, znam większość polskich przebojów, zwłaszcza powojennych. Mieszkając jako chłopiec w Świeciu nad Wisłą, słuchałem ich zarówno w radio, jak i z płyt na moim adapterze Bambino. Te melodyjne i rytmiczne nuty zapadły głęboko w muzyczną pamięć, nie tylko moją. Uznałem, że warto je przypomnieć.

Bowiem zwłaszcza te starsze są wartością samą w sobie. Są znakiem tamtego czasu, podobnie jak ówczesne +gadżety+, np. samochód Mikrus czy magnetofon szpulowy. Są swoistą wyprawą w obszar historii, której brakuje we współczesnej literaturze”.

Józefowicz dostrzegł również, że utwory z lat 80—tych zawierają z kolei wspaniały materiał teatralny. Dlatego przedstawienie „Przeżyj to sam” stanowi artystyczną wariację na temat tamtej rzeczywistości. W nim to np. bardzo popularna piosenka dobranockowa dla dzieci —

„Pszczółka Maja”, jest wykonywana zbiorowo podczas zainscenizowanej właśnie w teatrze... pierwszomajowej manifestacji.

Dodał jednocześnie, że Studio Buffo ukształtowało „przy okazji” całą plejadę zdolnych artystów-piosenkarzy, takich jak m.in. Katarzyna Groniec, Monika Ambroziak, Barbara Melzer, Wojciech Dmochowski i Michał Milowicz.

Pytam więc, co jest receptą na artystyczny sukces?

„Przede wszystkim praca i jeszcze raz praca. Dobrze jeśli towarzyszy jej też talent i szczypta pokory. Liczy się również twórcza intuicja, dzięki której udało mi się — wraz z Januszem Stokłosą — dokonać trafnego +naboru+ młodzieży podczas przygotowań do realizacji +Metra+.

To właśnie ci młodzi ludzie potrafią nas wzruszać i rozbawiać, śpiewając takie znane przeboje, jak +Latawce, dmuchawce, wiatr+, +Szklana pogoda+, +Ziuta+ lub +Chałupy Welcom to+. Ale teraz proszę wybaczyć, śpieszę się na próbę nowego musicalu +Piotruś Pan+, według libretta nieodżałowanego Jeremiego Przybory. Jeszcze się przecież spotkamy” — kończy Janusz Józefowicz.

A ja, bez cienia zawodu, czekam cierpliwie nadal.

* * * *

Podczas mojej wcześniejszej datą rozmowy z Mistrzem Adamem Hanuszkiewiczem, wspominał On, że pokłada duże artystyczne nadzieje w młodym talencie aktorskim, za jaki uważa Mieczysława Hryniewicza.

Postanowiłem dotrzeć do artysty, ale akurat był przez jakiś czas u znajomych pod Paryżem. Oczekiwanie zostało jednak wynagrodzone wielce życzliwym potraktowaniem „natrętnego” dziennikarza przez Pana Mieczysława.

Rzeczywiście, otrzymał ten sympatyczny wielce człowiek swoisty dowód opieki ze strony Melpomeny, skoro zaraz po dyplomie w warszawskiej PWST, w 1973 roku, trafił na deski „Narodowego”, grając w tak głośnych spektaklach Wielkiego Reżysera, jak „Balladyna”, „Antygona” i „Trzy po trzy”. Niemal w tym samym czasie stworzył — obok Jerzego Bończaka — prawdziwą kreację w filmie Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego „Zapis zbrodni”.

Ale oto nagle, prawie z dnia na dzień, Aktor przestał być związany umową z żadnym teatrem, można rzec — zniknął ze sceny. Dlaczego?

„Rzecz w tym, że nie bardzo umiałem zdyskontować dotychczasowy uśmiech losu. Po tak zwanym sukcesie zabrakło mi — jak to się mówi — pójsia za ciosem. Okresy zawodowej hossy przeplatają się z dniami odprężenia, a i kontestacji. To chcę zmienić, chociaż nadal w zgodzie z własnym wizerunkiem Hryniewicza jako aktora. Nie ma więc co mówić o jakiejś wymarzonej postaci, pragnę mieć natomiast szansę powiedzenia ludziom czegoś więcej, niż to wynika z zapisu danej roli”.

Mały łyk kawy i deklaracja. „Wierzę, że to możliwe. Zresztą, namiastkowo, taką sytuację przyniosła mi gra — wspólnie z Ewą Błaszczyk — w serialu +Zmiennicy+, gdzie starałem się ukazać młodego taksówkarza MPT jako osobę życzliwą, uśmiechniętą i naprawdę pomocną ludziom, co wówczas w Polsce nie było, niestety, normą.

Jeśli w moich następnych wcieleniach artystycznych uda mi się zawrzeć jakieś istotne społecznie przesłanie, to wtedy przyznam, że moja praca ma rzeczywiście sens. Nie jest — li tylko — zwykłym zarobkowaniem.”

Co więc robi aktor Hryniewicz, kiedy nie gra? „Często biorę się wówczas za kucharzenie dla bliskich, albo też dla samego siebie. Muszę się zresztą nieskromnie pochwalić, że mój kurczak z migdałami +po chińsku+ zyskał sobie wśród przyjaciół i wielu znajomych, nazwę +Kurczę a’ la Hrynio+, zaś smak mojej kuchni określono w ogóle jako +Chińszczyzna a’ la Hrynio+”.

Nie miałem jakoś szczęścia znaleźć się w gronie Jego zadowolonych zapewne smacznym poczęstunkiem — gości. Ale pozostaję nadal w roli autentycznego entuzjasty talentu i osobowości Pana Mieczysława.

* * * *

Chyba po raz pierwszy zdarzyło mi się opublikować quasi-wywiad, który uzyskałem pod koniec lat 90-tych drogą... pocztową. Był na tyle interesujący zawartym w sobie tematem i jego bohaterami, w dodatku udzielony przez kobietę-biograf Zespołu, Panią Krystynę Szymeczko, że po zwyczajowym oglądzie tekstu, przymknąłem oko na „wykładowy” nieco tok narracji. A dotyczyła ona „Nocnej Zmiany Bluesa”.

Mowa o pierwszej polskiej formacji bluesowej, która wydała własną płytę w USA, bardzo wysoko ocenioną w fachowej prasie amerykańskiej. Liderem Zespołu NZB, jego założycielem i autorem repertuaru jest Sławek Wiercholski, uważany — obok Tadeusza Nalepy — za największą indywidualność polskiego bluesa.

Ten gatunek muzyki łączy szczególne związki z... kolejną i pociągami, datowane mniej więcej od przełomu XIX i XX wieku. Pociągi często pojawiały się w tekstach bluesowych utworów jako symbol ucieczki do lepszego życia z południowych stanów Ameryki, gdzie blues był niekiedy jedyną rozrywką w ciężkich dla czarnoskórych robotników czasach.

Rytm wybijany przez koła pędzącego pociągu stał się podstawą wielu bluesowych standardów, a świst lokomotywy parowej należy do podstawowego arsenału efektów używanych przez bluesmanów grających na harmonijce ustnej.

Jeden z największych w naszym kraju znawców bluesa — Sławek Wierzcholski — w „cywilu” dziennikarz radiowy i publicysta, jest również wielkim mistrzem harmonijki ustnej, a jednocześnie wokalistą „Nocnej Zmiany Bluesa”. Lecz chociaż wspólnie z Zespołem ma już w dorobku kilka płyt, to brakuje szczęścia do bardziej znaczących wydawców i właściwej promocji granej muzyki. „Pora to wreszcie zmienić” — postuluje Pani biograf, co również chętnie i ja podzielam.

Stworzenie polskiego tekstu bluesowego stanowi rzeczywiście swoistą sztukę. Do tej pory udało się tylko Bogdanowi Loeblowi na licznych płytach grupy Breakout i Tadeusza Nalepy oraz Elżbiecie Mielczarek, autorce niezapomnianej „Poczekalni PKP”.

Także Wierzcholski, nie popadając absolutnie w banał, opowiada interesująco o nurtujących go problemach. Unika bluesowych „klisz” i wyświechtanych fraz, rysując pewien szczególny i trudny do zdefiniowania — bluesowy klimat, doskonale korespondujący z brzmieniem grupy o nietypowym jak na ten gatunek muzyki, składzie.

Tworzą go bowiem wyłącznie instrumenty akustyczne: gitara, gitara basowa, harmonijka ustna, skrzypce i perkusja, czyli zminimalizowany zestaw. Myli się jednak grubo ten, który sądzi, że Nocna Zmiana to subtelnie „smędnąca” grupa natchnionych muzyków. „Daj Boże, aby z takim +czadem i drivem+ grały u nas niektóre kapele elektryczne” — akcentuje Pani Szymeczko.

W dorobku Zespołu są płyty nagrane z takimi mistrzami jak Charlie Musselwhite czy Louisiana Red. Zwyczajowo już, Nocna Zmiana jest gwiazdą wszystkich praktycznie krajowych festiwali bluesowych, ale też koncertów rockowych i imprez organizowanych przez studentów. Muzyka Zespołu jest bowiem akceptowana przez różne środowiska i grupy wiekowe — zapewnia biograf NZB.

Dodam od siebie, że wśród sympatyków Nocnej Zmiany Bluesa nie brakuje i mojej skromnej osoby. Bo polubiłem te dźwięki i rytm — już dawno temu.

Niewątpliwie trzeba sobie mocno zasłużyć, aby znakomity reżyser Krzysztof Kieślowski powiedział o kimś tak, jak o moim Rozmówcy: „Twarze naszych przyjaciół w obiektywie Krzysztofa Wellmana to jakby album rodzinny. Talent fotografa potrafi zatrzymać chwilę i zamknąć czas w ramach obrazu, mówi o ludziach, którzy opowiadają, kim są i kim nie są. Są tymi, kim są rzeczywiście i tymi, za których chcieliby być uważani. Zasługą fotografa jest zapisanie tych wahań”.

Ocena wydana przez filmowego Mistrza — nobilituje. Dlatego ucieszyła mnie możliwość spotkania z utalentowanym fotografikiem, autorem cenionych już wystaw: „100 lat kina” i „Cyganie”, tuż po premierze Jego najnowszego dokonania, głośnej wielce ekspozycji, noszącej chwytliwy tytuł: „Rodzin aktorskich portret własny”.

Wygląda na to, że utrafił Pan z wykonywaną profesją. Inna byłaby chyba trudniejsza do zaakceptowania...

„Zdecydowanie tak. Kocham fotografować i to jest moje życie. Od 17 lat utrwalam twarze aktorów, podpatruję pracę na planie, zatrzymuję kadr. Interesują mnie nie tylko gwiazdy kina. Moimi bohaterami są też aktorzy tzw. drugiego planu, operatorzy i rekwizytorzy.

Staram się utrwalić to, co widzę. Jestem człowiekiem, który uwiecznia grymas, minę artysty, ale przede wszystkim piękno, z jakim mamy do czynienia każdego dnia” — mówi mój Rozmówca.

Dociekam, którą pracę na planie filmowym wspomina najmilej.

„To trudno ocenić. Uczestniczyłem już w realizacji kilkudziesięciu filmów, a każdy z nich miał swój własny klimat i koloryt twórczy. Jeśli jednak miałbym teraz, w 1998 roku wybierać, to szczególnie ciepło wspominam pracę przy obrazach: +Pestka+, +Kochankowie mojej mamy+, +Sztos+ oraz ostatnio — +Sara+ i +Tato+.

Filmy te były okazją do obcowania ze sztuką w wykonaniu takich indywidualności jak Krystyna Janda, Olaf Lubaszenko, Bogusław Linda czy Cezary Pazura. Fotografowałem nie tylko w kraju, lecz również na zagranicznym planie filmowym, w tym takie gwiazdy jak Sophie Marceau i Omar Shariff”.

Po tak udanej ostatnio wystawie, warto chyba „pójść za ciosem”. Jednakże Wellman nie kryje pewnego zażenowania życzliwą opinią zarówno reżysera Kieślowskiego, jak też innych recenzentów.

„Realizacja ekspozycji Rodzin Aktorskich zajęła mi prawie rok. Od początku inspirację owych zdjęć pozostawiłem w gestii moich bohaterów. Nie kryję osobistego zadowolenia z efektów tej współpracy. Fotogramy ukazują m.in. Gustawa Holoubka i Magdę Zawadzką, Jana Nowickiego z synem Łukaszem, Ewę Wiśniewską i Krzysztofa Kowalewskiego, braci Michała i Piotra Bajorów, Jerzego Stuhra z synem Maciejem oraz siostry Jolantę i Magdę Wołłejko.

Chcę nadal, możliwie jak najdłużej, realizować się artystycznie wśród ludzi kultury. Cenię bowiem zawsze — przede wszystkim jednak w środowisku aktorskim — specyficzną zmienność osobowości. Są to ludzie inni przed i inni po zagranie roli, a jednak w obu przypadkach równie fascynujący”.

Przyznam, że od chwili tej rozmowy z Krzysztofem, prywatnie mężem dziennikarki Doroty Wellman, jesteśmy dobrymi znajomymi. Tym bardziej, iż identyczna trasa spacerów z naszymi kochanymi czworonogami — w moim przypadku z małym Milusiem — temu sprzyjała. Próbowalem przy okazji robić swoim amatorskim aparatem ambitniejsze fotki, które potem uznał Fotografik żartobliwie za: „Rzeczywiście godne użytego sprzętu”. Cóż...

* * * *

Ileż miłych wspomnień z mojej wczesnej młodości przysporzyła rozmowa z Nestorem, wielce zasłużonym dla polskiego teatru — Mistrzem Lechem Ordonem. Zwłaszcza, kiedy w jej trakcie nawiązał pamięcią do dawnej cudownej atmosfery za kulisami, do podniosłego wówczas nastroju w foyer i na widowni.

Dobiegł do mnie wtedy znowu specyficzny zapach teatralnych kosmetyków z lat 50-tych, widok staromodnych kostiumów wiszących w garderobie, pudru oraz zajęczych łapek, pomocnych przy makijażu. Zabrzmiały zapomniane już słowa wzajemnej aktorskiej otuchy: „Nie wysypiesz się”, „Sufler pomoże” oraz: „Jak ty dzisiaj nader pięknie wyglądasz”.

Powróciły sylwetki występujących mocno później na tarnowskiej scenie, wielce obiecujących wówczas artystów, m.in.: Ryszarda Kotysa, Marka Litewki, Jerzego Kopczewskiego „Buleczki”, Krzysztofa Strońskiego, Elżbiety Kijowskiej, Jana Prochyry, Andrzeja Grabowskiego, jak również dojrzałych już aktorsko — Tadeusza Teodorczyka i Jerzego Wasiuczyńskiego.

Dla mnie prywatnie owym „czarownym światem” był teatr im. Ludwika Solskiego, w którym ongiś – w amatorskiej jeszcze obsadzie - grała przez parę lat Mama, zaś dla Aktora Lecha Ordona — już od roku 1946 — scena łódzkiego Teatru Wojska Polskiego, zamieniona później na deski innych „świątyń Melpomeny”, z Teatrem Polskim w Warszawie, na czele.

Zebrało się w dorobku Nestora, obdarzonego olbrzymią *vis comica*, wiele kreacji. Także filmowych i telewizyjnych. Jak je dziś ocenia i klasyfikuje? „Nie mam tej jednej, zagranej i bardzo ulubionej roli. Przecież było ich w końcu bez liku.

Owszem, wspominam miło szekspirowską postać Tobiasza Czkawki z *+Wieczoru Trzech Króli+*, czy nobliwego marszałka dworu, z wielce oglądanej w latach 70-tych, telewizyjnej *+Dobranocki dla dorosłych+*. Jednak zupełnie niespodziewanie do miana *+żelaznej+* dla mnie, urosła rola diabła Karborunda w *+Igraszkach z diabłem+* Jana Drdy. Grałem ją 51 lat temu u Leona Schillera, gram też obecnie za dyrekcji Jarosława Kiliana. Wciąż jednakowo się też cieszę, gdy ludzie przypominają sobie o uśmiechu” — zaznacza Aktor.

Uważa, że miał duże szczęście i zaszczyt pracować z największymi twórcami powojennej sceny. Za prawdziwy honor poczytuje jednak sobie czas spędzony pod okiem Leona Schillera, Wilama Chorzycy i Kazimierza Dejmka. Mógł też partnerować całej plejadzie wspaniałych aktorów, których darzył specjalną estymą, a należeli do nich m.in. Jan Kurnakowicz, Aleksander Zelwerowicz, Władysław Grabowski oraz Kazimierz Opaliński.

„Byli na swój sposób arystokratami teatru; perfekcyjni zawodowo, skromni i serdeczni. Obyśmy doczekali kiedyś rzeczywistych następców Wielkich Nieobecnych. A także uniknęli dzisiejszej *+krzykliwości+* przedstawień, nachalnego szokowania widza tak zwaną nowoczesnością, bez potrzebnej dbałości o należyte przeżywanie scenicznego słowa” — kończy mój Rozmówca.

Umiejscowiłem klimat spotkania oraz przesłanie zeń wynikające, we wdzięcznej Nestorowi mojej pamięci.

* * * *

Camerata Vistula — co za maestria w wykonywaniu unikatowego, trudnego repertuaru. To jedyny w Polsce i jeden z kilku tylko na świecie zespół, prezentujący muzykę — od baroku do współczesności. Recenzenci podkreślają Jego szczere oddanie się sztuce.

Jako mierny raczej meloman, zwłaszcza tego gatunku twórczych dzieł, byłem za oddaniem owego wywiadu w inne, bardziej fachowe ręce. Naczelný gościnny czasopisma uparł się jednak właśnie mnie obarczyć tym zadaniem — chyba w edukacyjnym celu. Być może byłby to dla nas obu „daremny trud”, ale życzliwe podejście szefa CV spowodowało, że co nieco się w mojej głowie rozjaśniło.

Oto dowiaduję się — pod koniec XX wieku — od założyciela, zarazem kierownika artystycznego i wiolonczelisty Zespołu, Pana prof. Andrzeja Wróbla, bieżących wieści o dokonaniach Camerata Vistula oraz zamierzeniach na przyszłość.

„Mamy ambicję bycia dźwiękową historią muzyki kameralnej. Tym bardziej, że w jej przypadku, poczynając od XVII wieku, instrumenty się nie zmieniły. Nadal gramy na skrzypcach, altówce, wiolonczeli, flecie i klarnecie. W skład naszej 12-osobowej grupy wchodzi sekcja smyczkowa, kwintet instrumentów dętych oraz fortepian. Zespół tworzą zaś wybitni instrumentalniści, soliści i kameraliści” — mówi jego szef, a zarazem ceniony wykładowca Akademii Muzycznej w Warszawie.

Zdaniem prof. Wróbla, zaprezentowany skład CV umożliwia przedstawienie wielu dzieł kameralistyki światowej, rzadko wykonywanej tylko z powodu nietypowego zestawu instrumentów, na jaki zostały napisane. Stąd Zespół ma w dorobku zarówno utwory Bacha, Mozarta, Schuberta, Beethovena, Chopina i Czajkowskiego, jak również Noskowskiego, Karłowicza, Szymanowskiego oraz Lutosławskiego i Góreckiego.

Co dodatkowo umacnia rangę Zespołu i Jego muzyków?”. „Przede wszystkim to, że mamy w swoim dość bogatym dorobku, liczne prawykonania polskich utworów współczesnych. Mowa przede wszystkim o kompozycjach Macieja Małeckiego, Piotra Mossa i Pawła Buczyńskiego. Chcę jednocześnie podkreślić, iż nasze propozycje koncertowe adresujemy absolutnie do każdego.

Zależy nam, aby nawet przypadkowy słuchacz mógł znaleźć coś dla siebie. Natomiast z wiernymi melomanami spotykamy się stale podczas festiwali muzycznych, występów w Filharmonii Narodowej czy Łazienkach Królewskich. Marzy nam się jednocześnie cykl muzycznych koncertów dwudziestego wieku. Oby się udało” — zaznacza Profesor.

Dziękując za wzbogacenie mojej skromnej dotąd wrażliwości muzycznej, postanowiłem nie tracić już więcej żadnej okazji posłuchania „na żywo” dzieł światowej kameralistyki w tak znakomitym, polskim wykonaniu. Przyznaję dziś ze skruchą, że efektu tej obietnicy lepiej nie komentować.

* * * *

Dla wielu widzów, w tym także dla mnie, wielce wyrazistym spośród kilku najbardziej interesujących aktorów charakterystycznych młodego pokolenia, był w 2000 roku Cezary Żak.

Zapamiętany i lubiany jako Karol Krawczyk, ten wówczas z pierwszej jeszcze części serialu „Miodowe lata”.

Dla jednych był w nim typem człowieka „z sercem na dłoni”, dla innych — niepoprawnym wciąż ”chłopcem”, chociaż w męskim przecież wcieleniu. Któregoś czerwcowego dnia miałem możliwość porozmawiania z Aktorem.

Pańską grę charakteryzuje duża naturalność i szczerość. Towarzyszy temu rzadki dar wzruszania — bawiąc. Na ile Karol Krawczyk uosabia naturę i przywary swojego odtwórcy?

„W istocie w dużej mierze, gdyż Krawczyk to typowy Polak. Ciągłe dąży do poprawy własnego bytu, myśli o zrobieniu korzystnego interesu. Stara się jednak czynić to w uczciwy sposób. Jest również bardzo lojalny wobec przyjaciela. Owszem, lubi dyskutować z żoną, bywa impulsywny zwłaszcza wobec teściowej, jest czasami nadwrażliwy, ale w sumie — +swoją chłopa+. Powiem nieskromnie, że odnajduję w tej postaci trochę z siebie”.

Słyszałem o wyjątkowo miłej atmosferze na planie „Miodowych lat”. Są jednak i kontrowersje, co do Pańskiej umiejętności prowadzenia tramwaju...

„Rzeczywiście tworzymy wspólnie od 1998 roku ekipę, którą charakteryzuje podczas pracy iście rodzinny klimat. Spotykając się w komplecie na poniedziałkowych nagraniach, mam osobisty komfort przyjemnego obcowania nie tylko z doskonałymi aktorami, ale i bardzo przyjaznymi ludźmi. Stąd nie wyobrażam sobie np. zerwania kontaktu z Norkami, obojętnie od dalszych losów serialu.

Przy okazji chcę zaś poinformować wszystkich wątpiących, iż zanim zostałem +telewizyjnym motorniczym+, musiałem zaliczyć całodzienną lekcję jazdy tramwajem wokół stolicy. Jakieś więc pojęcie o tej profesji posiadam”.

Wróćmy jednak do aktorstwa. Czy zawodowa scena kusiła Pana „od zawsze”?

„Początkowo nie tyle sama scena, co w ogóle działalność artystyczna. Już jako uczeń miałem ciągoty do recytacji, potem do małych form estradowych i kabaretu. Kiedy więc uleciała szansa dostania się na romanistykę, złożyłem papiery na studia aktorskie we Wrocławiu. I tu mały klops.

Chcąc dobrze wypaść przed komisją egzaminacyjną, w efekcie surowej diety, moja waga zmalała aż o 20 kilogramów. Tymczasem okazało się, że w nowym roku akademickim szczególnie mile widziany jest jakiś +tuszasty+ student. Dlatego szybko i z wielką ochotą nadrobiłem +niedowagę+, ku pełnemu zresztą zadowoleniu moich profesorów.

Po uzyskaniu dyplomu nadal cenię małe formy sceniczne, stąd szczególna sympatia dla mojego pierwszego monodramu +Kontrabasista+, zaprezentowanego na przeglądzie w Toruniu i wyróżnionego zarówno nagrodą za debiut, jak i werdyktem publiczności.

Zaś z teatralnych spektakli cenię sobie rolę Falstaffa w sztuce +Wesołe kumoszki z Windsoru+ oraz partnerowanie Krystynie Jandzie w przedstawieniu +Maria Callas+, na warszawskiej scenie +Powszechnego+” — wyznaje Aktor.

Jaki jest Cezary Żak po powrocie do domu?

„Na ogół szalenie zmęczony, mocno też zapracowany, gdyż chętnie zajmuje się majsterkowaniem. W domowym zaciszu lubi również pichcić ulubione dania kuchni kresowej, zwłaszcza pierogi. Zarówno rodzinka, jak też grono przyjaciół, bardzo je sobie chwalą. Zapraszam na degustację” — mówi na odchodnym Aktor.

Żaden żywy lwowianin nie pogardzi talerzem smacznych „ruskich”, czy pierogów z kapustą i grzybami, lecz tak się jakoś złożyło, że do konsumpcji „U Karola”, jeszcze nie doszło. Nie tracę jednak ani nadziei, ani... apetytu.

* * * *

Sobotni dyżur w Redakcji Krajowej PAP zapowiadał się dla mnie jako wyjątkowo spokojny i wręcz nieciekawym, z racji weekendowej pustki społecznych wydarzeń w kraju. Do czasu, gdy w drzwiach Newsroomu stanął nieznany, elegancki mężczyzna w młodym jeszcze wieku.

Powiedział, że ma dla Agencji bardzo ciekawą, niemal sensacyjną wiadomość. Oto jest od niedawna w posiadaniu oryginalnego druku programu Występu Estradowego Polskich Artystów w Nowym Jorku, w 1942 roku, z którego wynika, że jednym z wykonawców był znany aktor, Stanisław Sielański.

Przeczy to więc dotychczasowym obiegowym opiniom, iż ten popularny wielce przed wojną komik filmowy, zginął w Warszawie w wybuchu bomby lotniczej, na początku września 1939 roku.

Wieść rzeczywiście bardzo zaskakująca, w dodatku poparta wiarygodnym dokumentem. Obiecuję temu panu przekazać ją wkrótce nie tylko w naszym serwisie, lecz również kolegom w typowo „branżowych” redakcjach pism. A ponieważ mieliśmy obaj chwilę czasu, wypadało się bliżej przedstawić, nawet pogawędzić.

I co się okazuje? A no, że przestroga: „Nie będziesz prorokiem we własnym kraju”, pasuje jak ulał do śpiewaka-barytona Andrzeja Batora, mego niespodziewanego gościa.

Jest rok 1997, a On nie ma żadnych konkretnych propozycji scenicznych w kraju, chociaż śpiewał już np. dla wyelegantowanych ambasadorów z całego świata, podczas Galowego Koncertu w nowojorskiej siedzibie ONZ. Podbił również serca melomanów Grand Opera w Stamford, podobnie jak tych w Toronto.

Pytam o drogę do kariery. Jest wyjątkowo ciekawa. Pochodzący z umuzykalnionej rodziny młodzieniec, trafia po maturze do Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze” pod wodzą Miry Zimińskiej-Sygietyńskiej, potem studia muzyczne w Warszawie i — dzięki pomocy finansowej rodziców — wyjazd do wokalnego studio przy słynnej Metropolitan Opera w Nowym Jorku.

Zajęcia prowadzili tam też gościnnie tak znakomici śpiewacy, jak np. Athena Lampropulos i Anna Balos z mediolańskiej La Scali, jak Alfonso Cantau z Mexico Opera, a nawet słynny włoski tenor Lucciano Pavarotti. „Los był dla mnie rzeczywiście łaskawy” — przyznaje Andrzej Bator. Zapewne, jak wynika z Jego dalszych słów, nie tylko ten „studyjny”.

Bo oto w 1985 roku odwiedza z szacunkiem legendarną Polę Negri w San Antonio, a niedługo potem poznaje żonę Jana Kiepur — Martę Eggert. Ona — mimo że śpiewak jest barytonem, a nie tenorem — namawia swojego gościa do zainteresowania się repertuarem Jej nieodżałowanego męża.

Na przeszkodzie stał jednak ustalony przez impresariów program autorski Artysty, obejmujący m.in. pieśni włoskie, neapolitańskie i hiszpańskie, a także recitale arii operowych największych twórców.

Czy jest coś poza śpiewem, co Pana jeszcze interesuje? „Owszem, chociaż tylko pośrednio. Moim hobby jest zbieranie autografów oraz pamiątek związanych z ludźmi sztuki i jej mecenasami.

Muszę się pochwalić, że mam w swojej kolekcji również autograf króla Hiszpanii Alfonsa XIII, otrzymany właśnie od Poli Negri. Mam pierwszy program koncertu Ignacego Jana Paderewskiego w Carnegie Hall w Nowym Jorku, w 1902 roku oraz z tego samego okresu — program opery Paderewskiego +Manru+, wystawionej na deskach Metropolitan Opera. Co istotne, z udziałem naszych wspinających śpiewaków: Marceliny Sembrich-Kochańskiej i braci Reszke — Edwarda oraz Jana” — powiedział mój gość, przepraszając skromnie za zabrany czas.

Nie było już z mej strony żadnej wątpliwości, iż mało lubiany przez nas żurnalistów sobotni dyżur w Agencji, tym razem okazał się dla mnie wyjątkowo barwny i pożyteczny.

Aż trudno do dzisiaj uwierzyć, że żywot wspaniałego Aktora, który udzielił mi ciepłego wielce wywiadu, będzie miał po latach tak dramatyczny finał. Mowa o Januszu Zakrzeńskim.

Był Artystą obdarzonym również dużym talentem wokalnym, lecz pamiętamy Go przede wszystkim jako twórcę znakomitych kreacji, m.in. postaci Benedykta Korczyńskiego w filmowej wersji powieści Elizy Orzeszkowej „Nad Niemnem”, jako mającego zmienne nastroje Stanisława Ignacego Witkiewicza, w telewizyjnym obrazie „Tumor Witkacego”, a także Józefa Piłsudskiego, w widowisku „Pasjanse Pana Marszałka”. Tę postać — zawsze z niebywałym powodzeniem — odtwarzał Aktor również podczas innych okolicznościowych uroczystości, w kraju oraz wśród Polonii.

Siedzieliśmy w warszawskiej kawiarence przy wonnej herbacie, dostrzegając „strzelające” w kierunku naszego stolika spojrzenia, zwłaszcza pań. Adresat owej swoistej ofensywy, uśmiechnąwszy się pod wąsem powiedział: „To byłoby intrygujące wiele lat temu, bo już od dawna całym moim światem, oprócz teatru, jest żona, syn i nasze ulubione pieski”.

Po chwili dodał: „I pomyśleć, że przez głupi przypadek, mogłem tego rodzinie nie dostąpić”. Znieruchomiałem zaintrygowany, na szczęście był ciąg dalszy opowieści.

„W 1966 roku, będąc w znakomitym zespole Teatru Słowackiego w Krakowie, chciałem wraz z moją sympatią jeszcze wówczas, pojechać do rodziców we Wrocławiu, aby Im przedstawić wybrankę mego serca. To należało wtedy do zwyczajowego, dobrego tonu. Los sprawił, że wpadliśmy na krakowski dworzec w ostatniej chwili, kiedy pociąg już ruszał.

Konduktor zauważył pędzących za umykającym składem dwoje ludzi i ruchem ręki, który będę zawsze pamiętał, wstrzymał jazdę. Mogliśmy dzięki temu dotrzeć na czas, dopełnić rodzinnego ceremoniału, uzyskać aprobatę oraz usłyszeć wstępne błogosławieństwo: Abyście żyli razem długo i szczęśliwie. Tak właśnie jest” — potwierdza Wielki Aktor.

Dociekam: Co Janusza Zakrzeńskiego drażni jednak osobiście w dzisiejszym świecie, gdyż zauważałem, że o dobrych obyczajach mówi Pan już raczej w czasie przeszłym...

„Niestety, proszę wybaczyć. Prywatnie martwi oraz denerwuje mnie panoszące się chamstwo i brak wychowania u wielu osób. Zatracamy umiejętność ludzkiego, kulturalnego współżycia, zapominamy powiedzieć w stosownym miejscu +dzień dobry+ i +do widzenia+, podziękować czy przeprosić, a także bezinteresownie uśmiechnąć się do bliźniego. Teraz liczyć się zaczyna tak zwany pełny luz i ignorowanie otoczenia. Boleję nad tym” — przyznaje Rozmówca.

Akurat zbliżały się święta Bożego Narodzenia, więc pytam, czym są one dla Niego?

„Niezmiernie olbrzymim przeżyciem. Ze wspomnieniem tłoku przy stole, z siankiem pod obrusem i opłatkiem dzielonym zarówno z bliskimi, jak i naszymi domowymi zwierzakami. Z potraw zaś, musi być karp, czerwony barszcz z uszkami, kapusta z grzybami, no i oczywiście kutia”.

Wiem, że miał Pan Janusz Zakrzeński wiele jeszcze artystycznych planów na przyszłość. Czy udało Mu się większość zrealizować? Trudno teraz powiedzieć. Lot do Smoleńska, zakończony ogromną tragedią, przekreślił bez wątpienia nadzieje oraz zamierzenia tej wyjątkowo Skromnej, Kulturalnej i Niezapomnianej Postaci.

„Tu mówi Radio Lwów”

Już na emeryturze, przez parę lat poczułem się znowu radiowcem, tym razem nie jako „praktykant”, ale stateczny felietonista, tudzież korespondent z Warszawy. Czyli „zagraniczny” współpracownik Polskiego Radia Lwów.

Tego to osamotnionego antenowo rodzimego medium, działającego wspaniale pod wodzą niestrudzonej i zaradnej wielce, Pani prezes-redaktor Teresy Pakosz. Sobotnie i niedzielne emisje tej stacji przyciągają do odbiorników olbrzymią rzeszę rodaków pozostających na całych naszych dawnych Kresach.

Przed każdym programem — dzień lub dwa — nagrywano telefonicznie mój głos, przekazywany znad Wisły w felietonowej czy informacyjnej formie, a dotyczący różnych bieżących ciekawostek z kraju, wspomnieniowych opowieści, gawęd oraz okolicznościowych lub świątecznych życzeń.

Społeczna współpraca ustała z chwilą, kiedy moje struny głosowe zaczęły wydawać mało sympatyczne dźwięki, męczące zarówno słuchaczy, jak też mnie samego. Odrzuciłem też możliwość „zastępczego czytania”, bo tylko autor wie, kiedy użyć głosowej intonacji, w którym miejscu nadać tekstowi specyficznego akcentu. Pozostał więc grzecznościowy kontakt i moje serdeczne nadal myśli.

Muszę koniecznie zaznaczyć, że lwowskie Radio miało i ma nadal swoją własną specyfikę oraz priorytety programowe. Uwzględnia potrzeby i wieloletnie przyzwyczajenia Wschodniaków, okraszając przekaz charakterystycznym dla siebie wątkiem patriotycznym oraz dowcipem.

To zdecydowanie nie jest rozgłosnia lansująca modne na Zachodzie hasło w stylu: „Róbta co chceta” i narzucająca słuchaczom tzw. poprawność polityczną. Owe Radio wciąż „nie wstydzi się” swojej romantycznej, ale też nieco zawadiackiej „duszy”. I chwala Jemu za to.

* * * *

Pora przybliżyć — w krótkim zarysie — czym konkretnie „częstowałem” odbiorców polskiej rozgłośni lwowskiej. Jednym z początkowych tematów był „buńczuczny” w swoim zamierzeniu przekaz, że „Lwowianie nad Wisłą trzymają się mocno”. Cenieni zwłaszcza za hart ducha i poczucie humoru. Ale przecież także za intelekt oraz dorobek twórczego życia.

Wystarczy tylko spojrzeć na miniony i obecny wiek — Jan Parandowski, Eugeniusz Romer, Zbigniew Herbert, Adam Hanuszkiewicz, Kazimierz Górski, Ryszarda Hanin, Jerzy Janicki, Wojciech Kilar, Andrzej Hiolski, Stanisława Ryster, Tadeusz Kielanowski, Ryszard Konciewicz, Stanisław Lem, Krystyna Feldman, Witold Szolginia, Stanisław Głąbiński, Andrzej Kurylewicz, Janusz Gniatkowski czy Halina Kunicka. Z wielką satysfakcją starałem się dowieść, że zarówno w swoim doczesnym wcieleniu jak i po nim, są ikonami polskiej kultury, nauki czy rozrywki. Otoczeni szacunkiem, a także wdzięczną pamięcią.

* * * *

Rzeczywiście dużym zainteresowanie — co potwierdziły zresztą później liczne telefony do lwowskiego studia — cieszyła się np. moja świąteczna korespondencja o Reprezentacyjnym Zespole Artystycznym Wojska Polskiego. Przypomniałem w niej m.in. o wadze kultywowania tradycji narodowych, w tym również oręża polskiego.

Zaakcentowałem jednocześnie, że ów Zespół jest jedyną polską instytucją artystyczną propagującą naszą pieśń rycerską, patriotyczną i żołnierską na tak wysokim poziomie, a wspomniany repertuar stanowi główne tworzywo takich m.in. widowisk, jak „Do Ciebie Polsko”, czy „Niepodległa”. Opowiadających o zwycięstwach, o bohaterach oraz ich męstwie — czyli nieśmiertelnym umiłowaniu Ojczyzny i wolności.

Trudno było też nie wspomnieć, iż Reprezentacyjny Zespół Wojska Polskiego nagrał ostatnio 23 rodzime kolędy, w tym — co jest ciekawostką — także te żołnierskie, z czasów II wojny

światowej. Kończąc relację w tej audycji, wyraziłem nadzieję rychłego przyjazdu naszych wojskowych artystów z gościnnymi koncertami kolęd — również do Lwowa. Jak dotąd jednak, muszą tam wystarczyć Ich płyty i kompakty. Niestety...

* * * *

Wiele wzruszeń u radiosłuchaczy z Kresów wywołało zaprezentowanie na antenie niezwykle ciekawej postaci, w dodatku Ich krajana z Gródka Jagiellońskiego — Pana Zygmunta Świącickiego. Aż trudno wyliczyć zakres Jego zainteresowań: harcerz, pedagog, społeczny kurator sądowy, plastyk, literat, ratownik wodny i narciarz. Przede wszystkim jednak — wielki przyjaciel dzieci. Zasłużył sobie — jak mało kto — na Order Uśmiechu.

Było po wojnie wiele biedy, która nie ominęła również najmłodszych. Obecnie też nie wszystkim wiedzie się dobrze, dlatego postanowił pomóc im odnaleźć ciepło i radość dzieciństwa. W miarę możliwości czyni tak od kilkadziesiąt lat, więc nawet jeśli nie są to działania w pełni skuteczne, to absolutnie konkretne.

Wspomniałem na antenie, że kiedy powierzono Panu Zygmuntowi prowadzenie osiedlowego Klubu M-2 w tarnowskiej spółdzielni mieszkaniowej, postanowił wyjść poza ramy standardowych zajęć. Zrezygnować z wszechobecnych gier świetlicowych i zabawy w „dwa ognie”, na rzecz wychowania plastycznego i technicznego, konkursów i zabaw sprawnościowych na świeżym powietrzu. Wędruje z podopiecznymi przez urokliwe miejsca Pogórza Karpackiego, organizuje ogniska, festyny, a nawet happeningi.

Nie mogłem też sobie odmówić podania powodu rozgłosu, jaki zyskał ten Wschodniak wśród ekip telewizyjnych, nie tylko krajowych. Oto zaniedbany, zaśmiecony trawnik przed budynkiem, w którym mieszka, zamienił na „baśniowy ogród”. Zrobił estetyczne ogrodzenie, ustawiał wykonane artystycznie figury lalek i zwierzaków, stworzył odpowiednią scenografię z drewna, korzeni i starych przedmiotów. Powstało czarowne miejsce, nie tylko dla tamtejszych dzieciaków. Całość jest kolorowo podświetlona, co ma wieczorem swój dodatkowy urok.

Proszę się więc nie dziwić, że tak zależało mi na przedstawieniu w Polskim Radiu Lwów, owego niezwykle serdecznego Człowieka z Kresów. Oraz, że miałem z tego powodu wiele szczerzej radości.

Felietonowo natomiast, nie było z mojej strony zarówno „litości” dla naszych obecnych wad i nawyków, jak też obaw przed ukazaniem polskich, serdecznych postaw solidarności z bliźnimi na Wschodzie.

Zacząłem jednak od przypadków dość modnego zwłaszcza u schyłku XX wieku, brania na „lwowski trend”. Próbowano go wtedy wykorzystać w marketingowych celach, a i obecnie trafiają się sporadyczni naśladowcy, o czym mogłem się sam przekonać.

Na warszawskim osiedlowym bazarze pojawił się pewnego dnia mały pawilonik z dumnym, wyjątkowo dużym szyldem: „U lwowiaka”. Wewnątrz same „barachło”, ale aby nie okazać się niewdzięcznikiem, kupiłem u rodaka wysłużone narty, nie pasujące zresztą do moich „gabarytów”.

Przy okazji pytam handlowca, gdzie mieszkał w lwim grodzie, przy jakiej ulicy i w ogóle... A on na to z rozbijającą szczerością: „Panie, ja z Rawy Ruskiej, lecz na Lwów lepiej biorą klienci”.

Nie tak dawno parę naszych prywatnych firm przypomniało sobie o przedwojennym kwasie chlebowym z Kresów, rywalizując z legalnym importem smakowitego napoju, sprowadzanego ze Lwowa. Cóż, tylko „rywalizowało”. Dobre i to.

Ale, ad rem. Na poważniejsze tematy. W czasie gdy narastał konflikt władzy na Majdanie, a Janukowycz udawał „świętą krowę”, przypomniałem na antenie przedwojenną anegdotę, w której zatroskany ojciec pyta znanego psychologa, jaki fach powinien wybrać jego syn, skoro jest arogancki, pazerny na wszelkie dobra i do tego ma niezbyt lotny pomysłupek. „Jeśli tak, to nadaje się jedynie na polityka” — zawyrokował profesor.

Kiedy istniała obawa wysłania przez Rosję „zielonych ludzików”, także w rejon ukraińskich Karpat, „ku pokrzepieniu serc” włączyłem do felietonu humoreskę, najnowszego rodowodu.

Brzmiała: „Jedzie Putin autem odpocząć w podmoskiewskiej daczynie i na wiejskiej drodze jego kierowca potrąca dorodnego koguta. Władimir Władimirowicz nakazuje ochroniarzowi odszukać właściciela i zapytać, jakiej rekompensaty oczekuje. Agent wraca mówiąc: On nie chce pieniędzy za koguta. Powiedział, niech Putin sam się zjawi o 5 rano i zagadacze”.

Innym razem — już w ramach osobistych, typowo lwowskich przedwojennych resentymentów, ale i również pookupacyjnego spoważnienia — podzieliłem się na radiowej fali wspomnieniem o pszczołach mojego dziadka Michała, który korzystając z usytuowania przydomowego ogródka wśród miejskiej zieleni i kwiatów, ustawił kilka uli.

W sam raz zajęcie na emeryturze, gdyby nie to, że mocno stresujące. Bo pszczoły zamiast karmić się „u siebie”, wołały nektar na sąsiednim Podzamczu, przez co dziadek zwykle dość długo i zawsze niecierpliwie, czekał ciepłą porą na ich powrót.

Mówiłem też o naszym lwowskim wiernym przyjacielu, psie Mirtku, autorze dużej awantury w repatriacyjnym pociągu. Nieomylnie wyczuł eskortującego przesiedlanych „czekistę” i tuż przed granicą skrócił obie nogawki jego spodni, prawie o połowę.

Były jednakowoż na antenie znacznie poważniejsze tematy, m.in. o wkładzie polskiego ruchu oporu w zwycięską walkę z hitlerowcami, o pomnikach naszej tożsamości narodowej, zabijkach, a także o współczesnych problemach Polaków.

* * * *

Kiedys musiałem podzielić się ze słuchaczami z Kresów kwestią, która od dłuższego czasu bardzo mnie nurtowała. Streszczę teraz ten radiowy przekaz.

Otóż, gdy na ekrany kin w Polsce i na Ukrainie, wszedł głośny obraz Stevena Spielberga „Lista Schindlera”, jak większość kinomanów znalazłem się pod dużym wrażeniem tego filmu. Tym bardziej, że więźniem niemieckiego obozu koncentracyjnego w Krakowie-Płaszowie był przez pewien czas mój ojciec.

Trafił tam około półtora roku przed oswobodzeniem miasta, w wyniku przypadkowego aresztowania w Pustkowie, dokąd przyjechał na krótko, w jakimś istotnym celu. Nie wykluczam, że ze względów konspiracyjnych mógł mieć wtedy tato przy sobie fałszywą kenkartę, na inne nazwisko. Ale nie to jest sednem sprawy.

Chodzi o to, iż na podstawie akcji filmu można było nabrać mimowolnego przekonania, że to jedynie przedstawicielom jednej nacji — Żydom, zgotowali Niemcy w Płaszowie okrutny los. Tymczasem od lipca 1943 roku, z dużą zapiekłością traktowano w tym obozie również Polaków i ludzi innych narodowości. Przetrzymywanych w oddzielnych „sektorach”, jednak oprawcy i sadyści byli w KL Płaszów ci sami, dla wszystkich więźniów.

Ojciec niezbyt chętnie wracał do swoich przykrych przeżyć, raczej starał się uzewnętrzniać te bardziej „humanitarne” momenty, chociaż rzadko się trafiały. Wspominał np., że kiedy po

transporcie „nowych” do obozu, ustawiono ich w karnym szeregu, stojący obok taty więźni o tęgiej mocno sylwetce powiedział: „Kiedy ja będę taki szczupły jak pan, to na panu już nawet trawa nie będzie rosła”. Teoretycznie — słusznie, lecz w praktyce, już nie. Ojciec zmarniał „jedynie” do pięćdziesięciu paru kilogramów, za to jego znajomy z szeregu zaczął rychło wyglądać jak „zapałka”. Wielce ucieszyli się więc obaj, gdy kazano im nasmarować solidnie osie kół w obozowej ciężarówce. Była do tego duża puszka towotu. „Przy stałym braku tłuszczu i marzeniu o nim, smar smakował nam jak najlepsze wiejskie masło. Kolega to nawet palce do czysta oblizał. Chyba ten towot pozwolił nam przeżyć” — uważał tato.

Nie jestem historykiem, opieram się wyłącznie na własnej, słabnącej pamięci, lecz co do tego kolejnego wątku — również jestem przekonany. Jeszcze przed obozową egzystencją ojca, do jego bloku lub też całego blokowiska, przydzielono średniego wzrostem więźnia-kapo, aby tam pilnował „porządku”. Podobno był Austriakiem, inżynierem z wykształcenia. Miał on powtarzać „podopiecznym” dość zaskakujące własne credo, brzmiące mniej więcej tak: „Ja lubię Polaków i widzę tylko jeden sposób uchronienia Was od najgorszego. Będę tu stale głośno krzyczał, groził, a nawet czasem uderzę któregoś kijem. Może to coś da, a Wy się módlcie, aby rzeczywistość”.

Według taty, takiego nasilenia wrzasków, jęków, jak również absolutnie pozorowanych tylko „łomotów”, nie było nigdzie w obozie. Nawet lubiący znęcać się nad więźniami wartownicy oraz esesmańscy sadyści polujący na bezbronne ofiary, omijali ten rejon rechocząc, że już tam kapo daje więźniom „odpowiedni wycisk”.

Strategia Austriaka okazała się dla wielu nieszczęśników zbawienna, dlatego ojciec mój żałował później, że nie poznał dalszych losów tego wyjątkowo ludzkiego nadzorcy. Nie mógł, bo trochę przed końcem 1944 roku został wywieziony wraz z grupą więźniów do pogórzańskiej Kłokowej, naprawiać uszkodzony przez partyzantów drewniany most na rzece Białej.

Jeszcze przed Sylwestrem, przy nadarzającej się okazji uciekł razem z paroma innymi, idąc mozolnie okolicznymi wzgórzami i bacznie unikając szosy — w stronę zajętego już od kilku miesięcy przez Rosjan, Rzeszowa. Chciał stamtąd przedostać się dalej, do rodziny we Lwowie. Jednak w okolicy Sędziszowa słabość wyczerpanego organizmu dała znać o sobie.

Ciężkie zapalenie płuc, leczenie w domu uczynnego wiejskiego nauczyciela, potem w jakiejś izbie chorych, zawsze pod życzliwą opieką obcych przecież ludzi z Rzeszowszczyzny, i wreszcie poprawa zdrowia. Z nami zobaczył się dopiero po ponad roku, bodajże na granicznej już stacji w Medyce.

Przytoczyłem na radiowej antenie ów epizod głównie dla ukazania okupacyjnych losów kresowego rodaka, lecz również ku odnotowaniu wyjątkowo przyzwoitej — jak się wydaje — postawy tego anonimowego dla mnie, członka obozowego aparatu represji.

A swoją drogą, czy nie jest to równie ciekawy filmowy temat dla Pana Spielberga? Być może nawet z szansami reżysera na kolejnego Oskara. Tę opinię podzieliło zresztą dość liczne grono słuchaczy kresowego radia, uważając, że o okupacyjnej martyrologii Polaków słyszeć na świecie zbyt mało i nadal bardzo powierzchownie.

Trudno się było z Nimi nie zgodzić.

Dociekań nigdy dość

Do grona moich wspaniałych osobowościowo i intelektualnie rozmówców z samej końcówki XX wieku, zaliczyć też muszę Pana redaktora Zbigniewa Święcha, cenionego teraz pisarza, a wcześniej publicystę prasowego, telewizyjnego oraz reżysera filmów dokumentalnych.

Związany z Krakowem, ale przede wszystkim z mądrą i oddaną towarzyszką życia — Romą Habowską, jest autorem frapującego cyklu książkowego, w tym m.in.: „Klątwy, mikroby i uczeni”, „W ciszy otwieranych grobów”, „Wileńska klątwa Jagiellończyka” i „Ostatni krzyżowiec Europy”.

Skąd Pańskie szczególne zainteresowanie tajemnicami minionych dziejów? — pytam.

„Był to swoisty wybór życiowy, dokonany wiele lat temu. Być może pod wpływem uroku i szacunku dla mej rodzinnej Galicji. Postanowiłem podjąć trud częściowego chociaż rozwikłania zagadek z nimi związanych” — wyjaśnia pisarz.

Poproszony o skrótowne chociaż przybliżenie motywu „Klątwy Kazimierza”, Święch odpowiada:

„W 1973 roku otwarto w wawelskiej Katedrze grób Kazimierza Jagiellończyka. I oto, już od roku następnego gwałtowną śmiercią odchodzili z tego świata badacze grobowca. Na przestrzeni dziesięciu lat odnotowałem w tej +czarnej serii+ aż 16 osób. Przypomnę, iż na Wawelu niektórzy twierdzili niedawno jeszcze, że +widzieli+ łaciński dokument, przestrzegający przed otwarciem grobu Ojca Królów — Kazimierza IV. Zgony aż tylu osób należących do kręgu badaczy i konserwatorów, można wiązać z ich wejściem do wnętrza grobowca tego władcy.

Z kolei w Katedrze Wileńskiej, na murze starej Kaplicy Królewskiej, wzniesionej także na polecenie króla Kazimierza, widnieje przestroga-klątwa: VIOLATOR OPERIS INFELIX

ESTO, czyli: +Niszczycielu tego miejsca nieszczęśliwym bądź+. Kto i kiedy umieścił ten napis, zawierający zaklęcie? Czy był wyrażoną w ten sposób wolą samego króla, czy też jego syna, Aleksandra? Nie wiadomo. Jak pokazują jednak fakty, klątwa ta — niestety — działa od wieku XVII po dziś dzień. Staram się opisać te zjawiska oraz zbadać ich przyczyny” — mówi pisarz.

Głośno też o Pańskiej nowej książce „Czakram wawelski” i zawartej w niej próbie rozwikłania innej wielkiej tajemnicy. Jakiej?

„Chodzi o czakram wawelski umieszczony w kaplicy św. Gereona, w samym geograficznym środku Europy. Czy to on właśnie jest siódmym świętym kamieniem szczęśliwym, ogniskiem krakowskiej mocy? Od dziesiątków lat obserwuję niezwykle zjawisko setek tysięcy wędrowców, którzy pragną z tego miejsca czerpać życiową energię, uzyskać poprawę zdrowia, wejść do świata wyższej duchowości.

Większość z przybywających w pobliże tej kaplicy, nie potrafi nawet nazwać swego imperatywu, ani bliżej określić celu przybycia. Trudno to zjawisko ogarnąć, jeszcze trudniej nie zauważyć, a najgorzej — ignorować” — twierdzi Święch.

Pytam, czy jest możliwość oddziaływania czakramu wawelskiego, np. na życie naszego kraju? Słyszę oto:

„Żadnym odkryciem nie jest stwierdzenie, że potęga Polski dotąd trwała, dopóki królowie panowali na Zamku Wawelskim. Łączenie ich stałych pobytów na wawelskim wzgórzu jest domeną jasnowidza Michała Kaszowskiego, który przewiduje, że Polska do ustroju monarchistycznego kiedyś powróci, a na dodatek, że regalia naszych królów zostaną odnalezione.

Tymczasem zaś, zaprzyjaźnieni ezoterycy coraz częściej informują, że czakram znów się budzi... Z trzech niezależnych źródeł — według badań prowadzonych od 1993 roku — dowiadujemy się, że +cudowny kamień+ wzmacnia działanie swej mocy o blisko 20 procent w miesiącach jesiennych i zimowych. A dokładnie zaś, w okresie od 27 października do 27 kwietnia” — ujawnia Rozmówca.

Uścisnąłem dociekliwemu pisarzowi dłoń w geście swojego uznania, gratulując przy okazji przyjęcia literata do zaszczytnego Międzynarodowego Klubu Odkrywców — „The Explorers Club” w Nowym Jorku. Jako piątej osoby z Polski, obok m.in. wspomnianej już na tych kartach, Pani redaktor Elżbiety Dzikowskiej.

Chcę dodać, że od czasów pierwszej rozmowy, nawiązała się pomiędzy Zbyszkiem a mną, koleżeńska, a potem przyjacielska „galicyjska” więź. Jestem nią bardzo zaszczycony oraz uradowany, gdyż nasze telefoniczne pogawędki wzbogacają wielce prozę codziennej egzystencji warszawskiego emeryta i inspirują do dalszych twórczych poczyną.

Czy wiedzą Państwo, co znaczą słowa: „Na dara Rromesoar”? Znaczą: „Nie bój się Cygana”. A wiem to od bardzo kompetentnego człowieka, Pana Adama Bartosza, etnografa i muzeologa, od 1990 roku członka Światowej Rady Cyganów — Romani Unia.

Jest nie tylko wybitnym ekspertem, lecz także wielkim przyjacielem polskich Cyganów. Przez długie lata przełamywał ich nieufność — bądź co bądź to przecież „gadzio” — aby w końcu stać się znaczącą postacią dla całego środowiska Romów.

Od lat zajmując się mniejszościami etnicznymi oraz kulturą Karpat, stworzył pierwszą w Polsce i jedyną jak dotąd w Europie, stałą ekspozycję ukazującą obyczaje i życie Karpaccich Cyganów. Stanowiącą główną część tarnowskiego Muzeum Etnograficznego. Gromadzi ono m.in. dawne wozy taborowe i przedmioty codziennego użytku: naczynia, tkaniny, stroje, narzędzia i meble — bezcennej dzisiaj wartości.

Ten niezwykle zaangażowany badacz jest autorem kilku książek oraz cyklu reportaży z Indii, Albanii, a nawet dalekiej Argentyny. Napisał również unikatową pracę o polskich Cyganach, która zainspirowała mnie wielce do osobistego poznania i rozmowy z naukowcem. Udało się i mogę przedstawić plon spotkania.

„To nie jest tylko zwykła pasja. Raczej wewnętrzny imperatyw poznawania obcych kultur oraz ludzi, nie tylko dla nich samych, co dla ich odmienności. Słowem tego, czego u siebie nie mogę odnaleźć. Np. dostrzegam u Romów — jako Polak — ogromną solidarność i rodzinną więź, zaś jednocześnie wyjątkowo luźny stosunek do upływającego czasu i przyszłości. Żyją oni głównie dniem dzisiejszym, aczkolwiek coraz rozważniej i nadal serdecznie.

Myślę, że warto, a nawet trzeba zweryfikować nasze wyobrażenia na temat ludzi, którzy — w niewielkich grupach — przybyli do Polski już na przełomie XIV i XV wieku, od strony Węgier i Mołdawii” — uważa mój Rozmówca. Z socjologicznych badań wynika bowiem, że chociaż Romowie, ze swoimi restrykcyjnymi wciąż kodeksami obyczajowymi, uchodzą za bardzo konserwatywną grupę etniczną, to Ich życie zaczyna się jednak wyraźnie zmieniać. Sami dostosowują się do realiów współczesności.

Zaskoczony usłyszałem więc, iż powolnej korozji ulega nawet system tabu i wzorów kulturowych, przekazywanych obowiązkowo od wielu stuleci, z pokolenia na pokolenie. Wyjątkiem jest zasada tzw. skalań.

Opiera się ona na podziale świata cygańskiego na sfery czyste, czyli użo lub vużo oraz te nieczyste — marime i maxrime. Podział ten dotyczy wyłącznie samych Romów, jako ich „nieczystość” rytualna. Bowiem brud fizyczny — to mel. Można być brudnym „melalo” w sensie fizycznym, ale i jednocześnie „vużo” w sensie rytualnym.

Nieczyste, w tym ostatnim rozumieniu, są pewne części ciała, a mogą się też stać takimi ludzie i ich przedmioty. Człowiek może być „nieczysty” pod wpływem kontaktu z nimi, lub przez niewłaściwe z zasadami „rromanipen” — zachowania.

Np. niedopuszczalne jest, aby Cyganka usiadła na stole, czy na czapce należącej do Cygana. Przedmioty te stałyby się „nieczyste”. Podobnie też osoby, w które trafiła Cyganka dolną częścią własnej garderoby, o najbardziej intymnej jej części już nie mówiąc.

I nawet jeśli problem rytualnych „skałań” jest traktowany wśród ogółu Karpackich Romów coraz bardziej pragmatycznie, to obawa przed nim oraz swoiste zażenowanie — pozostają.

„Warto również wiedzieć, iż w naszym postrzeganiu Cyganów występują dwa stereotypy: ten nieomal +cepeliowsko+ barwny, jak również ten wyraźnie +przestępczy+. Wedle pierwszego — są oni narodem ludzi wolnych, nawykłych do wiecznej wędrówki, kochających muzykę i śpiew. Do tego otacza ich nimb tajemniczości, mówią bowiem niezrozumiałym językiem i parają tak dziwnymi zajęciami jak wróżby i czynienie uroków.

Druga alternatywa wiąże tę mniejszość etniczną z jej społeczną marginalizacją — biedą, żebractwem i niechęcią do edukacji — oraz z działalnością quasi-kryminalną, w postaci oszustw, kradzieży, a nawet powielanych przez ludzi mitów o porywaniu dzieci. Chcę obalić oba te poglądy, ukazać ich źródła, ale również drogę społeczności Romów ku jednoczącemu poczuciu etnicznej wspólnoty” — zaznacza Bartosz.

Mówią, że nasz XXI wiek zmniejszy owe różnice, lecz może też stanowić kres grup etnicznych — dociekam ze swej strony.

„Mimo wszystko, jestem optymistą. Sądzę, że nawet występująca +inność+ zostanie zachowana. Najważniejsze jednak, że w samym człowieku tkwi naturalna chęć bycia sobą. Brakuje zatem, na szczęście, naszej zgody na sprowadzenie do roli anonimowych zjadaczy hamburgerów.

Ludziom należy dać możliwość refleksji nad korzeniami własnej tożsamości. Zarówno np. przez muzealne zbiory arystokratyczne, jak i prezentację sztuki ludowej. O jej sile świadczy do teraz swoista odrębność i duma, m.in. Kurpiów, Ślązaków, Kaszubów oraz Podhalan. Ale i również Romów” — akcentuje etnograf.

Zaiste, jakże cenne i ciekawe są dociekania poznanego badacza. Teraz wiem, iż moje dotychczasowe wyobrażenie o Cyganach było nie tylko powierzchowne, ale i niekiedy krzywdzące.

* * * *

Docieka pisarz i badacz Zbigniew Świąch, docieka naukowiec-etnograf Adam Bartosz, dociekam i ja — laik w „nadprzyrodzonych” sprawach. Bo rzecz dotyczy dziwnej, a może jeszcze bardziej zaskakującej — sytuacji.

Nie wspominałem o tym zdarzeniu nikomu ze znajomych, z ludzkiej obawy narażenia się na kpiny, śmieszność, a nawet postukanie się przez nich wymownie w głowę. Ale przecież to, co zobaczyłem kiedyś — autentycznie zaistniało. Znam dokładną datę, czas i miejsce akcji, bo natychmiast odnotowałem to zjawisko w swoim kalendarzu.

Jest sobota, 13 lutego 2010 roku, godzina 19.51. Warszawa. Niebo jednolicie ciemne, wręcz czarne, na zewnątrz cicho, bezśnienie. Siedzę w domu na fotelu i coś czytam, gdy nagle moja ukochana córka Anna, mówi: „Tato, on leci prosto na nas”. Zobaczyła przez okno dwa białe światła, zbliżające się w powietrzu.

Mieszkamy w ursynowskim Natolinie, blisko linii Okęcia i jego podniebnej ścieżki dla samolotów. Ich starty i podchodzenia do lądowania nie są więc dla nas nowiną. Zdziwił mnie natomiast kierunek, z którego zbliżały się owe światła. Nietypowy, bo od strony Wilanowa.

Wyszedłem na balkon, 7 piętro, jest dobry widok. Myślę sobie, to musi być jakiś wyjątkowo duży samolot, ma bowiem zbyt szeroki rozstaw przednich reflektorów. W dodatku palących się wyraziście mleczną barwą i nie rzucających przed siebie, charakterystycznych jasnych „sнопów”.

Zaskoczenie narasta, bo światła się zbliżają, a żadnego odgłosu pracy silników nie słyszeć. Niemal grobowa cisza. Nagle „to coś” robi powolny zwrot w lewo i widzę wyraźnie, że nie jest pojedynczym obiektem, lecz dwoma — w kształcie dużych stożków — z trzema pasami światła na burtach: pomarańczowym, niebieskim i czerwonym.

Tak to później zanotowałem. Powiedzenie, że „stał jak słup soli”, oddaje mój wtedy stan.

Obiekty, nadal bezszelestnie, oddaliły się po chwili od siebie. Jeden — jak na wstecznym biegu — błyskawicznie wrócił „nad Wilanów”, drugi zaś ruszył migiem w stronę Lasu Kabackiego.

Cały mój wzrokowy kontakt ze „zjawami”, z odległości nie większej niż 500 metrów, trwał ponad minutę, zaś — według mnie — dziwne te pojazdy leciały co najwyżej na wysokości 800 metrów. Nie były absolutnie balonami meteo, ani kolorowymi lampionami, które ktoś dla „zgrywy” wypuścił w zimny wieczór zimowy. Złudą hologramową lub dronami — również.

Wróciwszy na fotel i otrząsnąwszy z dużych emocji, zdecydowałem się nie robić publicznego „rabanu”, z powodów już wcześniej wyartykułowanych. Będę czekał na wyjaśnienie w mediach. Ktoś przecież też musiał to zauważyć.

Lecz zarówno w niedzielę, jak i w poniedziałek — ani jednego słowa o zjawisku. Wygląda na to, że facetowi, który nie był „po spożyciu”, nie miał dotąd oznak wzrokowych omamów, ani mentalnych „odchyłek od normy”, za to sporo lat pisał o lotnictwie i odwiedził dwukrotnie amerykańską bazę Boeinga — coś się przywidziało. Czy jednak?

To pytanie lubi do mnie jeszcze czasami powracać, acz ze słabszym już co prawda, rezonanssem. Tłumaczę sobie bowiem, że są na tym świecie zagadki, które widocznie powinny pozostać nierozwiązane.

Nie było mi więc zapewne sądzone, aby do własnych dziennikarskich wspomnień z ponad 50-letniego okresu aktywności w tej branży, dodać jeszcze jedno — sensacyjne spotkanie z VIP-em z „pokładu UFO”.

Moi zacni Nieobecni

Nie łatwo jest pogodzić się z utratą kogokolwiek, zwłaszcza Bliskich, ale także Przyjaciół, serdecznych Kolegów i dobrych Znajomych. Bo całe lata widywaliśmy się, rozmawiali, niekiedy spierali również. Zawsze wszak życzliwie i z wzajemnym szacunkiem.

Oto niespodziewanie spełniło się wobec niektórych z Nich — o wiele za wcześnie — biblijne ostrzeżenie: „Memento mori”. Nastał ludzki smutek i towarzyska pustka.

Doznałem tych uczuć już wiele razy, zbyt wiele. Dlatego chcę przywołać kilka utraconych Sylwetek, poczuć przez chwilę Ich obecność, pogawędzić jak dawniej i nacieszyć się również. Oto Oni:

Władysław Knycpel — mój zawsze życzliwy redakcyjny Kompan, przede wszystkim z emeryckiego już okresu naszej współpracy w PAP. Był dziennikarską „szychą” — dawnym korespondentem Agencji w Londynie, Paryżu, Belgradzie, a potem przez parę lat w Moskwie.

Ta ostatnia placówka nieco Go zdeprecjonowała w oczach niektórych znajomych, że niby: „Czemu i tam?”, „Może to zakamuflowany +czerwony pajak+?”.

Tymczasem poliglota, Redaktor Knycpel, miał po prostu dar fachowości oraz dużej wiedzy, do tego chęć wytrwałego i możliwie najbardziej obiektywnego dociekania w sprawach tzw. wielkiej polityki. Prywatnie natomiast, jawił się serdecznym i gościnnym człowiekiem, o dużym poczuciu humoru.

Namiętnie palił Władek papierosy, a na terenie redakcji było to surowo zabronione. Na czas nocnych dyżurów znalazł jednak oryginalne rozwiązanie. Po włączeniu służbowej zmywarki do naczyń w tzw. pokoju śniadaniowym, trzymał głowę blisko strumienia wody, który rozprasał kłęby dymu. „Dało się w ten sposób oszukać czujnik alarmowy, chociaż często kosztem mokrych włosów i późniejszego kataru” — przyznawał ze śmiechem Kolega.

Raz tylko miał Władzio smutnawy mocno głos, kiedy dzwoniąc do mnie oznajmił, że coś niedobrego dzieje się z Jego zdrowiem. Niestety — wkrótce przyszło przykre potwierdzenie...

* * * *

Jerzy Wojdyłło — wielce stateczna, kulturalna, ale też waleczna Postać. Uczestnik Powstania Warszawskiego, młody harcerz Szarych Szeregów, noszący równie dumnie pseudonim „Soplica”, co i pocztę polową.

Zapadła mocno w moją pamięć dramatyczna opowieść Jerzego z końcowej już fazy Powstania. Wracał między ruinami po dostarczeniu jakiejś ważnej przesyłki, gdy nagle zza rogu wąskiej ulicy wyłonił się niemiecki czołg. Jechał powoli wprost na Niego i nie było gdzie na bok uskoczyć. „Już żegnałem się z życiem, ale niespodziewanie pojawił się blisko mnie — nie wiadomo skąd — oficer Wehrmachtu.

Stanowczym gestem obu rąk wstrzymał jazdę kolosa. Dobiegło do mnie tylko jedno, ale jakże zbawienne wówczas jego słowo: raus! Przeżyłem” — wspominał emocjonalnie mój starszy, odważny Druh.

Współcześnie był dziennikarzem, literatem, a także rzecznikiem prasowym PLL LOT. Miałem zaszczyt przez ponad 12 lat kontaktować się z Nim zawodowo oraz prywatnie serdecznie zaprzyjaźnić.

Kiedy wyruszaliśmy dziennikarsko samolotem do jakiegoś miejsca na kuli ziemskiej, lubiłem — jako samozwańczy dziekan korpusu medialnego — wygłaszać w powietrzu do grupy

debiutujących w branży lotniczej kolegów, taką oto sentencję: „Liczyć się powinien teraz u Was Pan Bóg, następnie Pan Prezes, a dopiero potem Wasi bliscy i przełożeni”.

Jurek wzbraniał się zawsze od nazywania Go „Panem Prezesem”, lecz wyraźnie był z owej „ksywki” zadowolony.

Po Jego przejściu na emeryturę nasze bratnie więzi niestety osłabły, na co wpływ miała zarówno choroba Jerzego, jak i moje wówczas robocze zaangażowanie. Wyrzucać to sobie będę zawsze.

* * * *

Andrzej Skłodowski — pogodny i pełen optymizmu uczestnik wspólnych papowskich zmagania z ówczesną rzeczywistością kraju, jednocześnie znany alpinista, taternik, instruktor i ratownik TOPR.

Zainicjował utworzenie Fundacji Przyjaciół Gór im. Jerzego Kukuczki, był m.in. odkrywcą nowych trudnych przejść w Tatrach i autorem poradnika dla alpinistów. Wśród wspinaczy nosił przydomek „Baron”.

To Jemu udało się — niewątpliwie z rzetelności — doprowadzić do „szewskiej pasji” skrywającego zwykle swoje odczucia, polityka PSL Waldemara Pawlaka, pełniącego w owym czasie funkcję premiera.

Coś tam „zasugerował” On naszej Agencji zmienić pilnie w swojej — ponoć błędnie zacytowanej — wypowiedzi dla prasy, zaś trzykrotnie chyba wysyłane przez Andrzeja „sprostowania”, zawierały nadal te same, zakwestionowane przez dostojnika słowa.

„Przecież tak rzeczywiście powiedział” — tłumaczył zdziwionemu biuru rzecznika rządu oraz szefostwu PAP — dziennikarz.

W późniejszych latach tak się jakoś układało, iż częściej niż w warszawskiej centrali Agencji — widywałem Go w Zakopanem, podczas moich urlopowych tam wypadów. Dopytywał, co w naszej firmie nowego? Dociekał, czy mam załatwiony nocleg, bo gdyby nie, to zaprasza do schroniska.

Słowem, wykazywał nie tylko górską energię, ale i warszawski przejaw koleżeństwa. Dlatego jak grom z jasnego nieba dotarła do mnie wiadomość, że Andrzej zmarł, mając zaledwie około 50 lat. Pod Giewontem zrobiło się nagle szaro i smętnie. Dla mnie również.

* * * *

Wojtek Gołębiewski — sympatyczny, ciepły i mimo młodego wieku, bardzo już schorowany Człowiek. Pisał w redakcji sportowej PAP, a ja lubiłem Go tam często odwiedzać i przy okazji — żartobliwie — pobudzać do życia, mówiąc np.: „Oj Wojtek, Wojtek, te dziewczyny Cię wykończą. Pofolguj trochę”.

Uśmiechał się wtedy szeroko, wręcz dumnie, chociaż stwardnienie rozsiane pustoszyło Jego organizm.

Z trudem poruszając się o dwóch laskach, do pracy przywożony był służbowym autem. Nie tracił jednak optymizmu. Wierzył, że tak jak kiedyś Jego ojciec — znany dziennikarz sportowy i były prezes Polskiego Związku Kolarskiego, Włodzimierz Gołębiewski — doczeka dni zawodowej satysfakcji. Trzymaliśmy wszyscy kciuki za spełnienie dążeń Wojtka.

Ale choroba wciąż atakowała, rokowania nie były dobre i któregoś dnia miejsce przy Jego redakcyjnym biurku pozostało puste. Bezpowrotnie.

* * * *

Józef Krzeczek — kompozytor tak znanych przebojów, jak: „O mnie się nie martw”, „Dwudziestolatki”, „Agatko, pocałuj”, czy „Krótki lot”. Muzyk multiinstrumentalista o tzw. absolutnym слuchu, do 1965 roku pianista i szef legendarnego zespołu „Czerwono Czarni”.

Będąc latem, ponad rok później, wśród rodziny, dostrzegłem w popularnej tarnowskiej kawiarni „Tatrzańska”, dziwnie znajomą z afiszów i krzepnącej telewizji — twarz. Już nie pamiętam jak się wówczas poznaliśmy, ale od tego dnia, przez niemal dwa lata zapanowało wspólne koleżeństwo, przerywane jedynie okresami mojej nieobecności nad Dunajcem.

Ziutek, kresowianin z pochodzenia, mieszkał wraz ze swoją ukochaną Mamą w Nowej Hucie, wtedy natomiast przeniósł się do siostry w Tarnowie, aby gościć u niej przez jakiś czas.

Trudno było nie odnieść wrażenia, że fakt Jego niespodziewanego odejścia z „CC”, po trzech bardzo owocnych latach muzykowania i komponowania, zaciążył na samopoczuciu Twórcy. Krążyły pogłoski, iż został „wykolegowany” przez starającego się usilnie o miejsce w Zespole i aspirującego do miana młodzieżowej „sławy” — muzyka.

Krzeczek nie komentował owych wieści, zachowywał kamienną twarz, ale coś było chyba „na rzeczy”.

Sympatyczny, elegancki blondyn, zwykle mocno zamyślony i cichy, wzbudzał żywe zainteresowanie miejscowych dziewczyn, jednak przede wszystkim tarnowskich fanów big beatu. Gdy raz zapowiedziano koncert, na którym Mistrz Józef wystąpił wspólnie z tutejszymi muzykami rockowego zespołu „Filipy”, zwały się rzesze melomanów także z Mielca, Rzeszowa i Nowego Sącza.

Owacjom nie było końca i bisom też. Każdy chciał chociaż przez moment być blisko Krzeczka. Mnie było szczęśliwie dane widywać się z Ziutkiem, tudzież rozmawiać — niemal każdego letniego dnia.

Jeśli dobrze zapamiętałem słowa bliskiego Kolegi, to tę konkretną muzykę do popularnego wielce przeboju „O mnie się nie martw”, skomponował trochę przez „przypadek”.

W studio nagraniowym, podczas zapisywania utworów na nową płytę „Czerwono Czarnych”, okazało się, że brakuje kilku minut, aby krążek był muzycznie w pełni zagospodarowany. „Myślę sobie, czeka fajny tekst Kazia Winklera, jeszcze bez nut. Może akurat. Usiadłem przy fortepianie, przez chwilę błędząc palcami po klawiaturze, dobieram akordy i wkrótce coś się z tego rodzi. Dość prosta, ale wpadająca w ucho linia melodyczna. Dograliśmy następnego dnia ten utwór, razem z rewelacyjną interpretacją piosenki przez Kasię i problem wakującego miejsca na płycie, zniknął” — wyjaśnił Kompozytor.

Jakże miło było słuchać tych i innych ciekawostek z życia kultowej grupy. Dyskutować o wyższości muzyki nad prozą codziennego bytu, tudzież w gronie kilku osób... nieco „pobiesiadować”.

Po moim wyjeździe były już jednak tylko sporadyczne wieści o Twórczym Józefie. O tym, że powrócił do Nowej Huty i tam muzykuje.

Niespodziewanie, w 1991 roku ukazał się Jego żałobny nekrolog na internetowej stronie Związku Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR. No cóż, „ziemscy geniusze są wybrańcami Bogów w pierwszej kolejności”. I to się dość szybko, acz z żalem, sprawdziło.

* * * *

Zygmunt Klatka — mój serdeczny Przyjaciół i Kumpel ze studenckiej ławy, pochodzący z Krosna, wielki patriota i piewca regionu podkarpackiego.

To Jemu zawdzięczam zdrowy doping do nauki i późniejsze wspólne świętowanie identycznych ocen na naszych magisterskich dyplomach.

Nie wyobrażał sobie innego miejsca działalności, niż Rzeszów, stając się w tamtejszych mediach cenionym popularyzatorem kultury oraz tradycji swojej pięknej Ziemi.

Został potem Zygmunt redaktorem naczelnym rzeszowskiego oddziału KAW, czyli Krajowej Agencji Wydawniczej, będąc wciąż aktywny oraz lubiany w podkarpackim środowisku.

Prywatnie, uwielbiał „Zyga” bieszczadzki Polańczyk nad Soliną, spędzając w nim latem, wraz z rodziną, każdy niemal wolny weekend. Zapraszał tam i mnie, dlatego żałuję bardzo, iż bez należytego odzewu. Za to On sam dotrzymał słowa, będąc świadkiem na moim warszawskim ślubie.

Naturalna tężyzna postawnego bruneta, higieniczny tryb życia oraz umiłowanie przyrody — to wszystko okazało się jednak niewystarczające. Rozległy zawał przerwał pracowity żywot Przyjaciela, w pełni jeszcze Jego sił twórczych.

Brakuje słów, aby oddać, co wtedy czułem.

Teraz, z chłodniejszą już nieco głową dociekam — czym mogą się obecnie zajmować moi Drodzy „nieobecni” Koledzy i Przyjaciele? Czy polubili nowe otoczenie oraz czy nadal pamiętają coś z naszych dawnych, wspólnych czasów?

Mam dla Nich jedno tylko osobiste zapewnienie: Chcę Was, Kochani, kiedyś „tam” odnaleźć i ciepło uściskać!

Zakończenie

Przyznać się muszę z zażenowaniem do braku konsekwencji. Postanowiłem bowiem od lata 2015 roku, nacieszyć się wreszcie do tzw. syta, nabytym wcześniej statusem emeryta, czyli zrezygnować całkowicie oraz nieodwołalnie, z różnych form dorywczej współpracy medialnej. Bezruch twórczy na tym polu szybko jednak zaczął mnie drażnić, stąd dla sanacji samopoczucia, już zimą chwyciłem ponownie za pióro.

To, że w ogóle mogłem się porwać na jakikolwiek rodzaj „twórczości”, zawdzięczam doświadczeniom i życzliwym Fachowcom żurnalistyki w następujących redakcjach: krakowskiego „Dziennika Polskiego”, „Gazety Krakowskiej”, ogólnopolskiej gazety „Sport” Katowice, rozgłośni Polskiego Radia w Gdańsku i Krakowie, jak również Polskiego Radia Lwów.

Chylę głowę przed gronem mądrych wielce Profesorów oraz Wykładowców, a także ambitnych i zdolnych Asystentów Instytutu Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego, którzy potrafili nadać bardziej profesjonalny kształt, ochoczym amatorskim poczynaniom przybysza z Kresów.

No i wreszcie, chcę szczerze i od serca podziękować mojej długoletniej warszawskiej patronce i chlebobawczyni — Polskiej Agencji Prasowej PAP, za wyrozumiałość i danie godnej szansy rozwoju zawodowego, za koleżeńskość oraz wiele miłych i atrakcyjnych przeżyć w Jej barwach.

Czy owa retrospekcyjna „książeczka” nie zawiedzie trudu wspominanych zawsze serdecznie i ciepło, dziennikarskich praktyków oraz uczelnianych pedagogów? Czy znajdzie sobie P.T. Czytelników i pozyska Ich przychylność? Przyznaję, że w tych kwestiach nie jestem już takim „zwyczajowym”, lwowskim optymistą.

Wiesław Karol Sąsiadowicz

Warszawa, 2018 r.

Spis treści

Wstęp	1
Pejzaż zimowy	4
Osobliwi mieszczanie	5
Tajemnice Leliwitów	7
Bema rapsod powrotny	9
Wielcy rodacy	12
„Szynowa” duma	12
Powoli do celu	14
Na sportową nutę	20
Witajcie piaski Mazowsza	29
Zachodnich stron smak	35
O tym i o owym	42
Fajnie, ale nie zawsze...	46
Talent w parze z pasją	50
Wśród swoich, tam i tu	56
Z tuzami polskiej sztuki	63
„Tu mówi Radio Lwów”	85
Dociekań nigdy dość	91
Moi zacni Nieobecni	96
Zakończenie	102
Spis treści	103
Rozmówcy i niektóre wspominane Postaci	104

Rozmówcy i niektóre wspomniane Postaci

Ambroziak Monika	Dymsza Adolf	Jaźwiecki Adam
Bachleda Curuś Andrzej	Dzikowska Elżbieta	Jedlewska Joanna
Bajor Michał	Eichlerówna Irena	Jędrusik Kalina
Balcerowicz Leszek	Feldman Krystyna	Józefowicz Janusz
Barszczewska Grażyna	Fogg Mieczysław	Kalenik Mieczysław
Bartik Stefan	Fogiel Aleksander	Kantor Tadeusz
Bartosz Adam	Gałązka Jan	Karczykowski Ryszard
Bator Andrzej	Gągała-Bohaczyk Zofia	Kielanowski Tadeusz
Bielatowicz Jan	Gniatkowski Janusz	Kienzler Iwona
Błaszczyk Ewa	Gołas Wiesław	Kieruzalski Andrzej
Bogdanowicz Marian Rosco	Gołębiewski Wojciech	Kijowska Elżbieta
Bohdanowicz Romana	Goszczurny Stanisław	Kilar Wojciech
Bończak Jerzy	Grabowski Andrzej	Kieślowski Krzysztof
Borowski Henryk	Grabowski Władysław	Klatka Zygmunt
Brandstaetter Roman	Groniec Katarzyna	Knycpel Władysław
Braun Jerzy	Gulska-Wójcikowska Irma	Kofta Jonasz
Brygider Helena	Górniak Edyta	Koncewicz Ryszard
Brzóska Stanisław	Hampel Stanisław	Kopczewski Jerzy
Budny Edward	Hanin Ryszarda	Kopiczyński Andrzej
Cebertowicz Romuald	Hanuszkiewicz Adam	Kotyński Roman
Celińska Stanisława	Herbert Zbigniew	Kotys Ryszard
Chorzyca Wilam	Hiolski Andrzej	Kowalewski Krzysztof
Ciesielski Jerzy	Holoubek Gustaw	Kreczmar Jan
Cieślik Gerard	Hryniewicz Mieczysław	Król Aleksander
Czubówna Krystyna	Iredyński Ireneusz	Król Jolanta
Cyganiewicz Zbyszko	Jabłoński Henryk	Krzeczek Józef
Cyrankiewicz Józef	Jakubiec Danuta	Kukiel Marian
Dejmek Kazimierz	Jakubowska Aleksandra	Kulka Konstanty Andrzej
Dmochowski Wojciech	Jankowska-Cieślak Jadwiga	Kunicka Halina
Dobek Gustaw	Jaracz Stefan	Kurnakowicz Jan
Drapiński Lech	Jastrun Mieczysław	Kuroń Jacek

Kurylewicz Andrzej	Popławski Stanisław	Sucharski Henryk
Lem Stanisław	Prochyra Jan	Szewińska Irena
Liberadzki Bogusław	Przybora Jeremi	Szolginia Witold
Litewka Marek	Pulit Franciszek	Teodorczyk Tadeusz
Loebl Bogdan	Puskas Ferenc	Trybała Marzena
Lubański Aleksander	Rakowski Mieczysław	Trzos-Rastawiecki Andrzej
Lutosławski Witold	Rodkiewicz Henryka	Urbaniak Michał
Majewski Władysław	Roman Klemens	Wagner Hubert Jerzy
Majorek Stanisław	Romaniec Zbigniew	Wajda Andrzej
Maklakiewicz Zdzisław	Romer Eugeniusz	Warszawska Helena
Mamcarz Krzysztof	Rosiewicz Andrzej	Wasiuczyński Jerzy
Marusarz Stanisław	Roszkowski Janusz	Wawrzon Feliks
Melzer Barbara	Rzeszot Stefan	Wellman Krzysztof
Michnikowski Wiesław	Sandurski Adam	Werner Józefina
Mielczarek Elżbieta	Schiller Leon	Wierzcholski Sławek
Milowicz Michał	Sieleński Stanisław	Wiśniewska Ewa
Młynarski Wojciech	Skalski Stanisław	Wojdyło Jerzy
Modrzyńska Urszula	Skłodowski Andrzej	Wojtyła Karol
Moździerz Kazimierz	Solecki Juliusz	Wołójko Jolanta
Mrożewski Zdzisław	Sosień Bożydar	Wołójko Magda
Nalepa Tadeusz	Staniszewska Grażyna	Wróbel Andrzej
Nikifor Krynicki	Stokłosa Janusz	Wzorek Emil
Opaliński Kazimierz	Stroiński Krzysztof	Zakrzeński Janusz
Ordon Lech	Stuhr Jerzy	Zawadzka Magdalena
Pakosz Teresa	Święch Zbigniew	Zelwerowicz Aleksander
Parandowski Jan	Święcicki Zygmunt	Żak Cezary
Penderecki Krzysztof	Szaławski Andrzej	Żychowska Maria
Pichelski Jerzy	Szujski Józef	
Podleśny Celina Arka	Szymeczko Krystyna	

=====

Copyright by Wiesław Karol Sąsiadowicz

Warszawa, kwiecień 2018 r.

ISBN 978-83-8104-459-2

Wydawnictwo Rideró

Lwowianin. Absolwent Instytutu Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Emerytowany redaktor Polskiej Agencji Prasowej PAP w Warszawie. Współpracował też z wieloma mediami lokalnymi i ogólnopolskimi oraz z Polskim Radiem Lwów. Książka o charakterze wspomnieniowym jest debiutem literackim żurnalisty, aczkolwiek ma w swoim dorobku liczne publikacje na łamach albumów, a także okolicznościowych wydawnictw.

Książka stanowi opis ciekawszych zdarzeń „w zawodzie”, z domieszką sytuacyjnego humoru, bo i taki przecież bywał. Prezentuje treść autorskich wywiadów z Wielkimi Postaciami naszej nauki, kultury i rozrywki, zawierających informacje niekiedy mało znane, albo i w ogóle.

Nie brakuje też unikatowych wątków historycznych – tych dawnych oraz współczesnych – jak również ciekawostek o sławnych ludziach polskiego sportu.

ISBN 978-83-8104-459-2



Rideró

Wydaj książkę

z przyjemnością